Hazard

Joanna Chmielewska

SHOUT
SHARE
IT

•

HAZARD

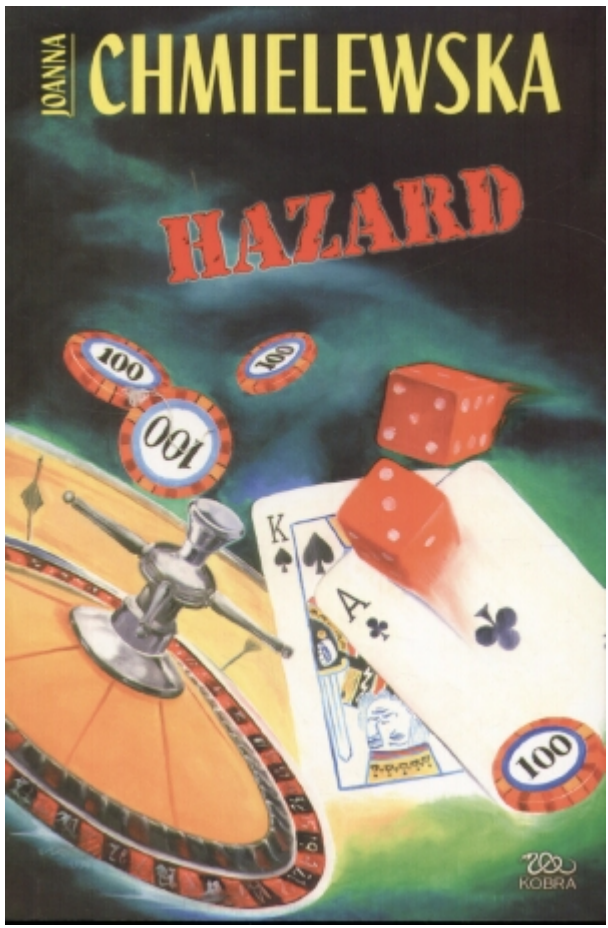

WSTĘP (bardzo krótki)

Niech się nikomu nie wydaje, że piszę ten utwór bezinteresownie, żadne takie. Piszę go podstępnie, z wielką nadzieją na oddźwięk z kasyn. Mianowicie liczę na to, że wszystkie uczynią mnie honorowym gościem, ze wstępem gratis i wolnym drinkiem, co ich z pewnością nie zrujnuje, bo koniaku i szampana nie lubię, a więcej niż pół litra bardzo mi szkodzi.

Nie wiem tylko, czy te kasyna to w ogóle przeczytają...

UWAGI OGÓLNE

Zacznijmy delikatnie.

Hazard. Cóż to jest hazard?

Niewątpliwie rodzaj namiętności. Namiętności zaś bywają rozmaitego gatunku. Niekoniecznie muszą przybierać postać naganną i stawać się zgubne, zdarzają się nawet zgoła pożyteczne, ale uczucia budzą prawie dokładnie takie same.

Na przykład ryby.

Nikt nie przyrówna niewinnego wędkarza do hazardzisty-szaleńca, który fortunę przodków oraz własną puszcza z wizgiem w Monte Carlo, względnie w jakiejkolwiek innej jaskini rozpusty. Wędkarz jest to istota łagodna, niechętnie widziana wyłącznie przez ryby, które głosu nie mają i krzyku wielkiego z siebie nie zdołają wydobyć. No, może jeszcze małżonka wędkarza powie, co myśli...

A jednak...

To pikniecie w sercu, kiedy spławik zaczyna drgać, ta eksplozja nadziei, ten skok emocji, bierze...? Nie bierze...? Wzięła...!!! Ten dziki dreszcz, kiedy czuje się ciężar wędziska, ten wybuch entuzjazmu, kiedy na końcu żyłki pojawia się potwór... Dech zapiera!

Co prawda, na końcu żyłki może pojawić się zdewastowana uprząż dla konia, od dawna ugrzęźnięta w mule, lub też mocno przechodzony trup, sama radość dla twórcy-kryminalisty, dla wędkarza raczej rozczarowanie, ale też sensacja, nie wdawajmy się jednak w wydarzenia aż tak nietypowe . Istotne są doznania. Nikt nie wie o wschodzie słońca, z czym wróci o zachodzie i wypisz wymaluj, to samo dotyczy wszystkich innych dziedzin.

A czymże są grzyby?

Idzie taki do lasu, oko mu biega dookoła głowy, noga za nogą, krok za krokiem i oto jest! O Boże! Prawdziwek jak byk...!!!

Kto nie zbierał, ten nie zrozumie. Łomot w sercu, gorąco wszędzie, rozkwit szczęścia i zachłanności, jest jeden, tuż blisko powinien być i drugi, więcej, więcej...!

Grzybiarze w zasadzie tępieni są tylko przez służbę leśną.

Albo jednostka płci odmiennej... Rodzaj wzruszeń poniekąd najbardziej rozpowszechniony i ogólnie dość znany. Oko wyławia taki cud natury, upragnioną postać, odpowie nam wzajemnością czy nie...? Spojrzy? Nie spojrzy? Zaprosi...? Przyjmie zaproszenie...?

Co tam, pewnie, że spojrzy, zaprosi, przyjmie, umówi się i tak dalej, nie to jest ważne, tylko owe doznania na kolejnych etapach, bez względu na to, czy idzie o ślub i dzieci, czy też o jedną upojną noc. Ta niepewność, wymieszana z nadzieją... Łowi się rybę... Zaraz, bez przesady. Odczepmy się od wędkarzy i wróćmy do namiętności jako

takich.

Kto ich nigdy nie zaznał, zmarnował życie i sam sobie jest winien .

Bo niby dlaczego facet włazi na cholernie wysoką górę, narażając co najmniej zdrowie, a może i resztę, chociaż nie ma na samym szczycie żadnego sensownego interesu? Płaci mu kto? Po diabła skacze ze spadochronem, chociaż mu nikt nie każe? Po jaką cholerę przepływa Atlantyk na tratwie, chociaż, skoro już tak lubi wodę, taniej by mu pewnie wypadło przebyć tę trasę pierwszą/klasą na luksusowym transatlantyku, a już gwarantowane, że wygodniej.

Czemuż zatem te dziwne, uciążliwe i niebezpieczne wysiłki czyni, pozornie bez żadnego racjonalnego powodu?

A otóż namiętność takiego pcha. Tak jest, namiętność nic innego!

Hazard zaś to również rodzaj namiętności. I to wyjątkowo solidnego gatunku.

Hazard ma różne oblicza...

No dobrze już, niech będzie. Przystąpmy do tego naj bardziej potępianego, trwogę budzącego i zgrozę, a także gorzkie łzy różnych dam, nie pojmujących sedna rzecz) Zważywszy, iż osobiście prezentujemy płeć żeńską, łzy dar nie robią na nas właściwego wrażenia. Było nie wiązać si z hazardzistą.

(Także z alkoholikiem, dziwkarzem, sadystą, harpagonem, półgłówkiem, histerykiem, pederastą, kaskaderem, kniem, naciągaczem i tak dalej, i dalej. Prywatnie mogę wyznać, iż wolę hazardzistę.)

Ogólnie biorąc, hazard kojarzy się ściśle z grą.

Poniekąd słusznie. Bez gry nie ma hazardu, a gra, jak taka, też może być rozmaita. W karty, w ruletkę, w toto -lotka, na giełdzie, w golfa, w bilard, na wyścigach, może te polegać na podkładaniu dużej świni zwierzchnikowi w miejscu pracy, ale z góry informuję, że tym ostatnim rodzajem nie będziemy się zajmować w najmniejszym stopniu, główni dlatego, iż brakuje nam doświadczeń osobistych. Pozostałe rodzaje mamy mniej więcej opanowane.

W celu wzięcia udziału w grze musimy wyasygnować jakieś pieniądze i bez tego się nie obejdzie. Wyżej wymieniane pieniądze możemy stracić.

Zatem hazard, jeszcze bardziej ściśle, kojarzy się z utrat pieniędzy.

Mniemanie wysoce złudne i zgoła niesmaczne.

Zaspokajanie namiętności stanowi przyjemność olbrzymią, o czym doskonale wiedzą, na przykład, dziwkarze. Także, na przykład, smakosze. Także rozmaite osoby o charakterze towarzyskim i rozrywkowym, które uwielbiają knajpy i restauracje, kolacyjki i

obiadki w miłym gronie, dobre wina i wątróbki po żydowsku, setkę pod śledzika i zwykłe pół litra pod golonkę lub kotlecik schabowy. Albo kawkę i szarlotkę z bitą śmietaną.

I nikomu jakoś nie przychodzi do głowy, że nie było wypadku, by jakiś kelner po spożytym posiłku zwrócił biesiadnikom wydatkowane pieniądze, obojętne, za szarlotkę czy za pół litra. Co wydali, przepadło na wieki.

A hazard niekiedy zwraca.

Nie dość, że zwraca, czasem nawet dokłada.

Taka sama przyjemność jak każda inna, tyle że większa i. rzecz wstrząsająca, niekiedy nawet intratna.

Zatem, jak powyższymi zdaniami zostało naukowo udowodnione, nader niesłusznie hazard cieszy się powszechnym potępieniem (pomijając oczywiście fakt, że potępieniem powinien się raczej martwić) i poglądy na temat tego rodzaju namiętności są w najwyższym stopniu błędne oraz godne głębokiej nagany.

Spróbujemy je zmienić.

Nie da się ukryć, że hazardowi ogromnie zaszkodzili mężczyźni.

Kto bowiem, grzecznie pytam, gromadził się w spelunach, przegrywał dobra ziemskie i zawierał pakta ze złym duchem? Może kobiety, co? Akurat. Kobiet do tych apartamentów w ogóle nie wpuszczano, nie miały szans. Co nie znaczy, że chęci. Wbrew pozorom, kobieta to też człowiek.

Do hazardu zaś kobiety nadają się lepiej z jednego bardzo prostego powodu. Istnieje mianowicie pewne prawo natury i sama już nie wiem, gdzie należy o nim napisać: na początku, w środku, na końcu, czy byle gdzie. Powiedzmy, że byle gdzie.

Prawo natury ściśle dotyczy różnicy płci, w związku z czym uprzejmie proszę, żeby kobiety niniejszy utwór przeczytały. Mężczyzn zachęcać nie będziemy, oni sami z siebie od początku w tym siedzą.

Otóż natura jako taka stworzyła uczciwy podział zajęć. Różnie rozłożony, ale to nie przeszkadza. Lwica lęgnie małe i karmi, lew, chcąc nie chcąc, musi złapać antylopę, żarcie przytargać i nie ma inaczej. Ptaszki siadują na jajkach rozmaicie, co ma swój sens, bo niech ta baba też sobie trochę polata, a modliszki przesadnie eksponować nie zamierzamy. Ogólnie jednak jednostka płci żeńskiej tkwi w dzieciach, jednostka płci męskiej odwala zaś inną robotę. A przynajmniej powinna odwalać.

Być może z racji naturalnego przystosowania się do obowiązków, kobiety mają w sobie barierę biologiczną. Nikt nigdy nie słyszał o głównej księgowej, lub też kasjerce, która wzięła z kasy instytucji wszystkie pieniądze, przegrała je na wyścigach i potem strzeliła sobie w łeb. Nie było w dziejach świata takiego wypadku. A główni księgowi i kasjerzy płci męskiej...? Ho, ho...! Kobieta owszem, te

pieniądze z kasy może wydać na futro, względnie ruski brylant, potem usiądzie i zacznie płakać, żądając od mężczyzny, żeby coś zrobił, ale w kasynie ich nie przegra. A nawet jeśli przegra, w łeb sobie nie strzeli.

A w ogóle nie przegra wszystkich. Mężczyzna rzuci na stół ruletki ostatni tysiąc złotych (dolarów, franków, marek, yenów, funtów, czy jaka tam waluta akurat chodzi) w całości, ryzykując jednym kopem ostatnią szansę, kobieta przenigdy. Podzieli tę ostatnią szansę na tyle kawałków, ile zdoła, i zawsze sobie coś tam w zapasie zostawi, bodaj możliwość.

Wyjątki...? Kto powiedział, że wyjątki się nie zdarzają! Oczywiście, potwierdzają regułę.

Ponadto kobieta, w przeciwieństwie do mężczyzny, nie wyniesie z domu ostatniej łyżki i ostatniego prześcieradła w celach rozrywkowych, nie przegra własnego futra i własnego samochodu. Namiętność do stanu posiadania zrównoważy w niej namiętność do hazardu i konflikt wewnętrzny, acz nerwy jej zszarpie, to jednak szkodliwość zgubnej przyjemności znacznie złagodzi. I już ten hazard schowa pazury.

Chociaż... Z drugiej znów strony... Kto nie ryzykuje, ten nie je ...

No dobrze, już dobrze, bez krzyku proszę. Sama znam jedną, w której hazard zdołał przełamać prawa natury, pozbawiając ją posiadanego uprzednio mienia, druga zaś podobno znalazła się nawet taka, co, postradawszy wszelkie dobra, z własnej woli opuściła ten padół. Nie, nie strzelała. Posłużyła się jakimś paskudztwem nasennym, a możliwe, że narkotycznym.

Im bardziej rażący wyjątek, tym silniej potwierdzona reguła...

Wspomniana wyżej bariera biologiczna przybiera niekiedy postać zwyczajnego lęku, baba się boi. Szaleństwo w niej, co prawda, wrze, pcha do ulubionej gry, zmusza do wrzucania pieniędzy w paszczę molocha z pominięciem nawet kosmetyków, ale gdzieś tam, w samej głębi duszy, podświadomości i wątroby istnieje i kąsa okropna obawa straty. Rękę i umysł paraliżuje.

Ten gatunek bariery stanowczo należy przełamać, co wcale nie oznacza, iż nakłaniamy główne księgowe do nabywania broni palnej. Zadziwiające jest jednakże, iż na rzecz tak ulotną i nietrwałą jak uroda kobieta wyda majątek bez chwili wahania i bez najmniejszej szansy na zwrot, tam zaś,

gdzie istnieje nadzieja zysku, wstrzyma się ze strachu. Gdzie sens, gdzie logika?

Wyraźnie jednak wynika z powyższego, że hazard uprawiać

powinny panie, a ewentualne hamulce należy zamontować panom.

Aczkolwiek, wiedziona elementarnym poczuciem przyzwoitości, muszę przyznać, iż sama znałam takiego przedwojennego bon viveura, który nawet w Monte Carlo grywał z umiarem. Brał ze sobą sumę przeznaczoną na straty i jeśli ją przegrał, opuszczał salony szatana. Jeśli zaś wygrywał, połowę zysku chował do lewej kieszeni, dla dalszej rozpusty zaś sięgał do prawej i grał tak długo, póki mu zawartości tej prawej starczyło. Zawartość lewej pozostawała na rozplenienie.

Inna rzecz, że w tych rozrywkach zawsze towarzyszyła mu żona, którą kochał niezmiernie przez całe życie i którą raz na zawsze upoważnił do protestu. „Jeśli zobaczysz, kochanie - rzekł do niej na samym początku mariażu, zapewne w podróży poślubnej - że sięgam do lewej kieszeni, bierz mnie za krawat i wyciągaj stąd". Żona powyższe słowa potraktowała poważnie. Sam zwierzał mi się, w czasach już dobrze powojennych, że chwilami swojej żony raczej nie lubił, ale mienie pradziadków ocalało mu dzięki niej.

Jak widać, zdarzają się mężczyźni, którym chlupocze w głowie odrobina oleju.

Przy okazji przypominam, że PRZYMUS uprawiania hazardu na razie jeszcze NIE ISTNIEJE. Jest to rozrywka dobrowolna.

Za to musimy pogodzić się z faktem, iż wszelkie namiętności wyzwalają w jednostce ludzkiej siły nadnaturalne. Nie umywa się do nich ani sumienie, ani rozum, ani potrzeba, której zresztą niech wystarczy, że jest matką wynalazków, ani obowiązek, ani jakieś tam inne porządne i łagodne uczucia. Namiętności biją wszystko.

A już namiętność do hazardu... Ho, ho, ho...!

* * *

Jak powszechnie wiadomo, fart jest grymaśny. Albo ma się szczęście w kartach, albo w miłości, a wyjątki znów uczciwie potwierdzają regułę.

Załóżmy, że takiemu karta wali jak szatan, ponieważ żonę w pokoju obok podrywa jakiś palant.

Prawdziwy, rasowy hazardzista wręcz kocha palanta. Miły chłopiec, niech podrywa, niech podrywa, niech ta karta idzie dalej! Aby nie przestał zbyt wcześnie! Hazardzista rozumny zawiera nawet ze swoją kobietą umowę: "Jeśli już chcesz mnie zdradzać, kochanie, zrób mi grzeczność i wybieraj chwile, kiedy w coś gram!" Kobieta z odrobiną oleju w głowie chętnie się do takiego układu dostosuje.

Odwrotnie też można. Ona gra, a on podrywa.

Światem hazardu rządzi także druga zasada, znacznie ważniejsza od tej pierwszej, wyżej wymienionej. Mianowicie: JAK NIE IDZIE, TO NIE IDZIE!

Jest to wielka prawda, którą najtrudniej przyjąć do wiadomości, a już zastosowanie się do niej przekracza zgoła ludzkie siły. Na złą passę

nie ma mocnych i należy ją przeczekać, wszyscy to wiedzą, a któż się na to zdobędzie?

Miejsca, dostarczające żeru namiętności, również bywają rozmaite. W zasadzie są to kasyna, ale zdarza się, że i zwyczajne wesołe miasteczko stanie na wysokości zadania. Ponadto mamy wyścigi oraz grono znajomych, chętnie oddających się grze, na przykład, w pokera...

Kasyno, ogólnie biorąc, stanowi rodzaj raju.

Atmosfera w nim panuje właściwa i już od progu budzi dreszcz emocji w sercu. Nie wpuszcza się tam osób poniżej lat osiemnastu, zatem obecność wrzeszczących i biegających dzieci jest wykluczona. Przymusu nie ma żadnego, można grać, w co się chce, i można nie grać wcale. Można siedzieć w barze przy drinku, rozmawiać, milczeć, gapić się na innych (byle nie nachalnie), ryzykować samemu, zmieniać wysokość stawki, można nic nie robić i tylko się napawać. Pełnia swobody i wolności!

Podobnie przedstawiają się wyścigi, rzecz jasna konne, które dodatkowo służą świeżym powietrzem. Też pozwalają na wszystko, wykluczając jakiekolwiek presje i nie domagając się natrętnie żadnych nakładów finansowych, poza ewentualną opłatą za wstęp, która w dodatku u nas od wielu już lat nie jest pobierana. Wedle uznania i chwilowych fanaberii można tu grać, nie grać, patrzeć, nie patrzeć, wydawać okrzyki, milczeć, w ostateczności nawet spać. Całkowity brak wszelkich obowiązków!

Tak piękne chwile w życiu przytrafiają się rzadko i niech się nad tym zastanowią kobiety, z reguły przyduszone tych obowiązków nadmiarem. Mężczyźni zastanawiać się nie muszą, wiedzę w tej kwestii mają w sobie. Od urodzenia.

Skoro jednak zdecydowaliśmy się zacząć delikatnie, o wyścigach, już raz porządnie opisanych, zaledwie napomkniemy, a kasyna zostawimy na koniec, pierwszeństwo dając rozrywkom niewinnym.

Chronologicznie rzecz biorąc, jako pierwsze w moich doświadczeniach występuje:

TIVOLI

Jak powszechnie wiadomo, kopenhaskie Tivoli jest jednym z najstarszych i najsłynniejszych wesołych miasteczek, równego sobie w Europie nie miało przez całe lata. Obecnie dorównał mu wiedeński Prater, może nawet nieco je przerósł. Odznaczało się tym, że, między innymi, prosperowały w nim Automat-halle, czyli sale automatów.

Lata całe rozmaici malkontenci psy wieszali na jednorękich bandytach. Upieramy się, że musieli przegrać i stąd niechęć do

urządzenia, z natury swojej wyzutego z agresji. A kto im kazał grać? Znam te maszynerie doskonale i uroczyście zapewniam, że żaden automat za człowiekiem nie fata, nie rzuca się na niego i nie wyrywa mu siłą pieniędzy z kieszeni. Malkontent sam się pcha, a potem wybrzydza. Niesmaczne i gorszące.

Niegdyś, zanim jeszcze elektronika weszła nam na głowę, istniały automaty mechaniczne i rzeczywiście należało przy nich wajchą szarpać, od czego ręka drętwiała. W dodatku grało się na stojąco, od czego z kolei drętwiały nogi i łupał kręgosłup. Razem wziąwszy, był to całkiem niezły wysiłek fizyczny, dzięki czemu podziw i zgrozę budziły duńskie staruszki, które potrafiły przegrywać na tym ustrojstwie całe emerytury, wykazując się kondycją godną szczerej zazdrości. Przegrywają, o ile wiem, także i obecnie, tyle że w lepszych warunkach, bo i wajcha odpada, i stołki ustawiono.

Wszyscy gracze doskonale wiedzą, że automaty bywają rozmaite, i to nie tylko ze względu na ich rodzaj. Jedne płacą częściej, drugie rzadziej, jedne więcej, drugie mniej, jasną jest więc rzeczą, że wszyscy pchają się do tych lepszych. Dawne automaty mechaniczne łatwiej ulegały rozregulowaniu i nie dlatego, żeby się ktoś starał, tylko zwyczajnie, w wyniku energicznego szarpania wajchą.

Tivoli otwierano o dziewiątej. Automat-halle o dziesiątej. Dania jest krajem, który nie zna zjawiska kolejek. O wpół do dziesiątej w wejściu do sali automatów stał ogon bab, z roziskrzonym wzrokiem czatujących na ten jeden najlepszy automat. Wszystkie udawały, że stoją tylko tak sobie, wszystkie usiłowały dyplomatycznie przepchnąć się do przodu i wszystkie były znacznie starsze ode mnie, aczkolwiek miałam już wtedy dzieci w wieku szkolnym, a może nawet mój starszy syn był na studiach.

Czatowanie jako takie jest, czy może było, elementem nader istotnym. We wszystkie piątki, soboty, niedziele i dni świąteczne, kiedy w Tivoli panował tłok i automaty były zajęte, za plecami grających błąkały się, przewalały, a nawet nieruchomo sterczały w miejscu hieny cmentarne, czyhające na coś dla siebie. Wiadomo było, że osoba grająca dobrowolnie nie odejdzie, ale może ma jakieś obowiązki, może wnuki wracają ze szkoły, może zaprosiła przyjaciółki na frokost (duńskie drugie śniadanko, angielski lunch), może objawi się w niej fizjologia, może po prostu przegra i zabraknie jej pieniędzy. Utkwiony w bezdusznej maszynie wzrok hipnotycznie ział nadzieją, że może to parszywe urządzenie nic już nie da, nic już nie da, nic już nie da...

Rozczarowanie, kiedy osoba przegrana leciała do kasy po żetony, rezerwując sobie automat i najwyraźniej w świecie posiadając jeszcze środki materialne, wręcz świstało w powietrzu.

Rezerwowanie miejsca przy automacie w zasadzie nie

przyczyniało mi problemów mimo doskonałej nieznajomości języka. Trzymać maszynę może tylko osoba siedząca obok. W panującym wokół hałasie mogłam mówić do osoby, co mi się podobało w języku dowolnym, pokazywanie palcem, różne gesty i zatroskany wyraz twarzy wystarczały, wiadomo było, że nikt tu nie rozmawia na tematy uboczne. Hałas zaś wynikał z elementów następujących: Brzęk żetonów, wrzucanych do automatu. Rzegot szarpania wajchą. Najgorszy ze wszystkich, wręcz upiorny, łomot wygranych żetonów, walących się w metalowe koryto. Okrzyki graczy. Razem wziąwszy, przerastało to młyn i tkalnię.

Takież właśnie czatowanie miało miejsce przy tych lepszych automatach. Osoba czyhająca, zazwyczaj siedząc na stołku przy automacie obok, nie dość że narażała się na oczopląs i rozbieżnego zeza, to jeszcze musiała pilnować innej osoby przy drugim automacie obok, czyhającej dokładnie na to samo. Trzeba przyznać, że duńskie staruszki, od późnej wiosny do wczesnej jesieni, miały nader urozmaicone życie i z pewnością nie zawracały głowy żadnym krewnym z młodszego pokolenia narzekaniem, że się nudzą...

Kto powiedział, że na automatach nie można wygrać?

Osobiście byłam świadkiem następujących wydarzeń:

Grałam sobie z przyjemnością w małej hali bliżej mojego domu. Powinnam może zauważyć, że przez rok mieszkałam naprzeciwko wejścia do Tivoli, na bulwarze Andersena, dzięki czemu trzy razy w tygodniu oglądałam przez okno sztuczne ognie, co nie ma nic do rzeczy. Grałam zatem w hali od strony tego bocznego wejścia, jakoś nie było tłoku i automaty czekały na klientów. Do jednego wolnego tuż obok mnie podbiegł chłopczyk, mniej więcej dziesięcioletni, wrzucił jeden żeton i wyleciało mu tego śmiecia pięćdziesiąt. Wygarnął wszystkie i nie wdając się w dalszą grę, popędził jeździć na samochodach elektrycznych. Rozsądne dziecko.

Grałam w dużej hali, późnym wieczorem, kiedy tłok już zelżał. Przez pomieszczenie wlokła się facetka, młoda staruszka w średnim wieku, rozlazła i chyba zmęczona. Znalazła na podłodze jeden żeton, wrzuciła go do automatu akurat koło mnie i wyleciało jej czternaście. Zaczęła grać tymi czternastoma i kiedy odchodziła (co najdziwniejsze, dobrowolnie), miała czterysta. Wiem na pewno, ponieważ z samej ciekawości wyliczałam ją na bieżąco.

Grałam, byłam przegrana i wściekła, kiedy za moimi plecami rozszalał się jakiś kretyn. Południowiec, czarny, dość tłusty, nieduży, szalenie elegancki, otoczony tłumem bab. Szarpał wajchą odwrócony do automatu prawie tyłem i oznajmiał wszem i wobec, że on zawsze wygrywa, co to dla niego takie barachło jak automat, proszę...! O, proszę...! O, znów...! O, proszę...!

Jakim cudem rozumiałam, co mówi, do dziś dnia nie wiem. Po

jakiemu mówił, też nie pamiętam. Najniezwyklejsze jednak było to, że mnie szlag nie trafił. On wygrywał, a ja wręcz przeciwnie.

Widziałam także faceta, fizycznie robił niezłe wrażenie, który usiłował podnieść trzy wory żetonów, wydojone z automatu. Przedtem siedziałam plecami do niego i cały czas denerwował mnie ten jego rzegot, później dopiero obejrzałam się do tyłu. Jedyną satysfakcję sprawiła mi myśl, że nie ja muszę unieść ten ciężar.

Tamże właśnie, w Tivoli, natknęłam się na automat całkiem innego rodzaju, przypominający flotację miedzi. Straszna rzecz. Żetony do niego muszą być większe, w poszczególnych przegrodach leży ich wielka kupa, ofiara namiętności wrzuca następne, te następne popychają te poprzednie, wszystko razem przesuwa się ku przodowi, gdzie zieje przepaść, zawisa nad nią i wreszcie musi spaść, runąć do koryta, a co w korycie, to nasze. Zwis się robi potężny i gruby, już ledwo się trzyma, jeszcze odrobina i poleci, no, teraz...! Nie, jeszcze nie, ale za chwilę... Już...! A chała, nie leci cholernik. No to teraz...! Teraz już musi, no...? I jeszcze ścierwo nie leci...

Za to klient leci po następne żetony, jeszcze pięć koron, jeszcze dziesięć ł już ten cały nabój mu runie! Wariactwa można dostać. Piekielny zwis robi złudne wrażenie i pozbawia amatorów resztek fortuny.

A jednak widziałam wygranych nawet i na tym cholerstwie. Błąkał się dookoła maszynerii brodaty stary pryk, który bez żadnej charakteryzacji mógł od razu zagrać Wernyhorę, wybierał sobie starannie co bardziej rozpłomienionych szaleńców i czatował za ich plecami. Pilnowany szaleniec popadał w końcu w zniechęcenie i rezygnował, albo też zwyczajnie brakło mu pieniędzy, i wówczas Wernyhora wkraczał do akcji. Sytuację oceniał bez pudła, rzeczywiście wystarczało parę żetonów, żeby przez kogo innego wyprodukowany zwis jemu się walił do koryta, Wernyhora korzystał, po czym odchodził. Nigdy nie grał dalej na tej samej przegrodzie, doskonale wiedząc, że kuszące resztki zwisu znów sobie poczekają z leceniem. Niech się na nie inny głupek narwie.

W Brukseli przy podobnej maszynie spotkałam rodaka. Znajdowała się tam dodatkowa atrakcja, mianowicie na kupach przesuwających się żetonów leżały zapalniczki i elektroniczne zegarki, wówczas nowość kosztowna. Leciały razem z żetonami. Rodak miał w kieszeni już trzy sztuki i czatował na czwartą. Wyznał mi, że ma kupca, sprzedaje mu te zegarki po dwieście franków od sztuki i tym sposobem zarabia sobie na podróż do Anglii. Utłukł już trzy czwarte niezbędnej sumy i za parę dni pojedzie.

W czasach obecnych Tivoli poszło z postępem i zmieniło prawie wszystkie automaty na nowe, elektroniczne. Trochę tych starych, mechanicznych jeszcze zostało, specjalnie dla konserwatystów, żeby

im nie było przykro, bo Dania szanuje ludzkie uczucia. Nowe przeważnie wcale nie mają wajchy do szarpania, przytyka się guzikiem i ciekawe, jak je nazwą malkontenci. Jednoręki bandyta odpada, to jaki teraz będzie? Przytykany...?

Między nami mówiąc, całe to szaleństwo w Tivoli stanowiło czystą sztukę dla sztuki, bo największa nawet wy rana była mirażem i złudą. Poza bramę się jej nie wyniosło z bardzo prostego powodu, mianowicie nie zamieniali żetonów z powrotem na pieniądze. Wszystko należało wydać wewnątrz ogrodzenia, z tym że było na co. Pomijam już knajpy, bary, kioski i wściekle drogie restauracje, ale cały teren do tej pory usiany jest sklepami i na dobrą sprawę kupić tam można wszystko, poczynając od zapałek, a kończąc na samochodzie. Na moje oko Wernyhora tymi żetonami nieźle się żywił.

Mogę wyznać, iż ów brak wymiany z powrotem padł na mnie osobiście, nader boleśnie i dotkliwie. W dawnych czasach jeszcze o tym nie wiedziałam. Wybierałam się na wyścigi, gdzie czekał na mnie mój koński wspólnik, wyzuty chwilowo z dóbr materialnych, po drodze zahaczyłam o Tivoli i z posiadanych na szlachetne, wyścigowe cele stu koron przegrałam prawie siedemdziesiąt. Nie, przepraszam, nic podobnego, wcale nie przegrałam, przeciwnie, wyszłam z tej rozpusty z ogromną wygraną, tyle że w żetonach. Ucieszona zyskiem popędziłam do kasy, żeby mi zwrócili forsę, i wówczas wyszło na jaw, że nic z tego, wymiany z powrotem nie ma. Omal trupem nie padłam. Nie pozostało mi jednakże nic innego, jak tylko dokonać racjonalnych zakupów w postaci papierosów, bo wiadomo było, że na papierosy człowiek i tak wyda, tu czy gdzie indziej. Wspólnik, młodzieniec rycerski, nie powiedział ani słowa, dostał tylko szczęko-ścisku, bo całe wyścigi przetrwał z silnie zaciśniętymi zębami.

Obecnie bywa różnie, żetony wychodzą z użycia i grywa się na zwyczajny, chodliwy bilon. Wygrana ma oblicze konkretu. Aczkolwiek zdarza się jeszcze, że człowiek wrzuca w paszczękę molocha żywe pieniądze, a wylatuje mu jakieś barachło, którym może zapłacić najwyżej za piwo...

PRATER

Jak wyglądał Prater trzydzieści lat temu, ze wstydem przyznaję, że pojęcia nie mam. Obecnie prezentuje sobą inne proporcje niż Tivoli. Na większym niż kopenhaski terenie hale automatów stanowią znacznie mniejszą cząstkę i nie wpadają w oko z daleka, gros rozrywek zaś składa się z przerażających maszynerii, wożących pasażerów przeważnie do góry nogami. Osobiście przyjemność sprawiała mi myśl, że na tym nie siedzę.

Za to kosztów ponosić się nie musi, bo wstęp jest wolny. Płaci się tylko za konkretne i namiętne pragnienie, żeby po-wisieć głową w dół i żeby dech takiemu zaparło. Kwestia gustu i upodobań.

Hale automatów, zgromadzone w jednej części terenu, dysponują dużą rozmaitością urządzeń, pieniądze wymieniają w obie strony, a w dodatku obsługa serwuje darmowe drinki w postaci piwa i wina. Kochając Tivoli, z wielkim smutkiem stwierdzam, że tam nawet nie wolno wchodzić do wnętrza z napojem lub pożywieniem, ale staram się instytucję usprawiedliwić. Widocznie zbyt wiele osób wylało sobie wzajemnie to piwo na plecy...

W każdym razie pod tym względem Prater ma zdecydowaną przewagę.

Wiadomość z ostatniej chwili: można w Tivoli wchodzić, z czym się chce.

Automaty, rzecz oczywista, znajdują się także w kasynach.

(Także w kawiarniach, na promach, w poczekalniach dworcowych, w rozmaitych salonach gier i w ogóle gdzie popadnie. Nie na wszystkich jednakże grywałam, z różnych przyczyn. Najbardziej spodobał mi się jeden, na promie Świnoujście-Kopenhaga, wrzucało się do niego szwedzkie i duńskie korony, miałam je nawet, ale, nader nieszczęśliwie, znalazłam się tam w towarzystwie własnego mężczyzny, który żadnego hazardu nie trawił. Sam jego wzrok wystarczył, żeby mi sparaliżowało rękę i mogłam tylko rzucać na ulubioną maszynerię tęsknym i żałosnym okiem, nie zaś żetonami.

Gdyby to kogoś interesowało, to nieodpowiedniego mężczyzny zaraz potem się pozbyłam.)

Automaty w kasynach stanowią całą epopeję.

Nie. Źle mówię. Nie całą. To kasyna stanowią całą epopeję, automaty zaś są zaledwie jej częścią. Niewątpliwie nader istotną, skoro znajdują się nawet w Monte Carlo, że już nie wspomnę o Las Vegas.

AUTOMATY JAKO TAKIE

W naszym ukochanym kraju pojawiły się razem ze zmianą ustroju i od razu wzbudziły zainteresowanie społeczeństwa. Zdaje się, że pierwszym miejscem, w którym naród zdołał ich dopaść, była dawna kawiarnia Stylowa na rogu Koszykowej i placu Konstytucji, obecnie... o rany, co się tam znajduje obecnie...? A, prawda, HORTEX!

Niech ja w domu nie nocuję, to się nazywa skleroza!

No i w tej ówczesnej Stylowej, która, być może, już wtedy zmieniała nazwę, stały sobie na piętrze trzy automaty, otoczone tłumem rozżartych graczy. Od razu należy przyznać, iż nie był to kwiat i elita narodu, chyba że za elitę narodu uznamy proletariat, w owym czasie uprawiający pożałowania godną dyktaturę. Automaty były już zmodyfikowane...

Chwileczkę, muszę tu wrócić do Tivoli. Zapomniałam wyjaśnić, że tamte najstarsze, mechaniczne automaty pozwalały wrzucać w siebie

tylko po jednym żetonie, wykluczając podnoszenie stawki, później dopiero pojawiły się różne bardziej skomplikowane, stwarzające pewną dowolność pod tym względem. Te nasze w Stylowej dochodziły do żetonów pięciu, co przez wyżej wspomniany naród zostało ocenione jako urządzenie pięcioosobowe. Pięć jednostek ludzkich tłoczyło się przy jednej maszynerii, każda wrzucała po jednej sztuce, niekiedy zaś, w drodze wyjątku i po licznych awanturach, pozwalano komuś wrzucić dwa, a nawet trzy. Sprawiedliwości pilnowano zgoła zażarcie i trzymali się jej kurczowo nie tylko gracze bezpośredni, ale także całe stado rozpłomienionych kibiców, leżących im na plecach. Gniewne okrzyki w rodzaju: „Nieprawda, nie ten! Ten z wąsami! Ten w czerwonym szaliku! Ta pani miała dwa! Te, odchromol się, jeden wrzucałeś!" i tym podobne, rozlegały się bezustannie.

Na marginesie: „ta pani" to byłam ja.

Bywał tam znawca-amator mechanizmów, z reguły szarpiący wajchą osobiście, przeciwko czemu nikt nie protestował, bo miał opanowany najkorzystniejszy sposób szarpania. Przeważnie automat mu płacił i stąd niewątpliwie niezwykła ugodowość społeczeństwa, rezygnującego z rozrywki własnoręcznej. Automaty zresztą już po krótkim czasie stały się nieźle rozregulowane, ponieważ niedoświadczeni, a za to roznamiętnieni hazardziści wkładali w szarpnięcie wszystkie siły, trzęsąc całym urządzeniem, a bicepsy mieli. Później dopiero takim rozregulowanym należało szarpać z czuciem i to właśnie umiał jeden czy drugi wodzirej.

Automaty w Stylowej należą już do historii. Możliwe, iż stanowiły pierwszą jaskółkę zmian ustrojowych, bo zainstalowano je jeszcze w czasach uporczywych błędów i wypaczeń. Jakim cudem to mogło nastąpić, nie mam pojęcia. Nie znam się na polityce.

Pierwsze rodzime poważne kasyno - Salon Gier Automatycznych - ujrzałam w Grandzie.

Do własnej książki powinnam sięgnąć, żeby przypomnieć sobie, jak to wyglądało na początku, bo z biegiem czasu zmiany następowały szalone. Pojawiły się nowe rodzaje ustrojstwa, niektóre dawniejsze znikły całkowicie, zmodyfikowano sposoby gry i odbierania wygranych.

Na początku był chaos...

Nie, co ja piszę, jaki znowu chaos, pomyliło mi się ze stworzeniem świata. Na początku było tak, że primo: zamieniało się w kasie pieniądze na żetony, żetony były po tysiąc złotych na stare pieniądze... a otóż proszę, jak zawodna jest pamięć ludzka, szczególnie skażona sklerozą. Nie wykluczam, że do jednych były po tysiąc, do innych po dwa tysiące, a do niektórych tylko po pięćset złotych. W każdym razie z całą pewnością uzyskiwało się je z kasy. Secundo: prawie wszędzie stały stołki i można było grać luksusowo. Tertio:

brakowało bufetu, ale na szczęście restauracja Grandu znajdowała się pod ręką. Po piwo lub też inny przyjemny napój leciało się do kelnera. Quarto: w przeciwieństwie do Tivoli, żaden automat nie wysypywał całej wygranej. Bezpośrednio płacił tylko do pewnej wysokości, w razie większego sukcesu warczał, brzęczał, grał melodyjkę, dla wszystkich graczy upojną, migotał światełkami i nie pozwalał grać dalej. Musiał przyjść technik z obsługi (może zresztą on był magistrem, albo zgoła miał doktorat, bez znaczenia, w kasynie, robił za technika i cześć), odblokować maszynerię, zabezpieczyć wygraną i przynieść z kasy pieniądze. Względnie dać kwit wygranemu, który odbierał sobie forsę osobiście. Quinto: stały tam już wtedy automaty pokerowe.

Automaty bowiem są nader rozmaite. Różnorodność wcale nie polega już na tym, czy się szarpie, czy przytyka, bo szarpanie przy elektronicznych uległo całkowitej zagładzie. Rzecz w obrazku, który pokazuje się na ekranie.

Najprostsze, od tych starych, mechanicznych poczynając, pokazywały rozmaite śliwki, pomarańcze, czereśnie, arbuzy, krótko mówiąc witaminy, a oprócz nich dzwonki, oraz widok najbardziej wytęskniony, trzy siódemki albo trzy bary. Bary były wówczas pojedyncze, później dopiero pojawiły się podwójne i potrójne i wygląda to tak:

BAR BAR BAR

albo:

BAR BAR BAR BAR BAR BAR

albo:

BAR BAR BAR BAR BAR BAR BAR BAR BAR

Monotonne raczej. A jednak upragnione!

Rzecz oczywista, ta ostatnia kombinacja była (i jest) najcenniejsza, ponieważ zawsze dawała najwyższą wygraną. Z drugiej strony zrobiło się to całkiem nudne, nastąpiła bowiem zmiana, ilość owoców ograniczono do jednego rodzaju i w rezultacie po ekranie latają samotne czereśnie i samotne bary. Widok dość otępiający. Doszła, owszem, pewna atrakcja, ale o tym za chwilę.

Za to automaty nieco bardziej skomplikowane jęły stopniowo prezentować coraz większe urozmaicenie. Na ekranie pojawiły się tęcze, widoczki, rogi obfitości, różne łebki, to ludzkie, to zwierzęce, maski, wory pieniędzy, klejnoty i diabli wiedzą co jeszcze. Niektóre kombinacje dają specjalną premię, ciężko się w tym połapać, szczególnie w obcym języku, aczkolwiek w takim, na przykład, Tivoli, do którego uporczywie wracam z racji najdoskonalszej znajomości miejsca, jeden rodzaj automatów może ustawić prosty i zrozumiały napis: TIVOLI TIVOLI TIVOLI. I to daje premię największą.

Owoce przeszły na takie coś, od czego można dostać oczopląsu...

Normalny, prosty automat płaci za to, co się ustawi na środkowej linii, a widoki na górnej i dolnej mogą najwyżej szarpać za serce i powodować zgrzyt zębów. Gra się jednak jednym żetonem, pojedynczą stawką. Taki drań owocowy natomiast tym się odznacza, że płaci na liniach ośmiu: trzy w poziomie, trzy w pionie i dwie na skos, a w dodatku na niektórych można grać od lewej i od prawej. W ten sposób pojedyncza stawka przekształca się w szesnastokrotną, gwarantowane jest bowiem, że bezduszne bydlę tam zapłaci, gdzie człowiek nie gra. Po czym człowiek dostanie zawału.

No i te pokerowe, ukochane przez karciarzy!

Na ekraniku, jak sama nazwa wskazuje, ukazują się karty. Pięć sztuk, jak do pokera. Wygrywają dokładnie te same kombinacje, co przy prawdziwym pokerze, dwie pary, trójka, kareta i tak dalej. Najbardziej interesujące i pożądane dodatkowo posiadają dżokera, który, normalnie, jak w kartach, zastępuje każdą z nich, dzięki czemu istnieje szansa na układ, w prawdziwym pokerze raczej nie spotykany. Jest to mianowicie tak zwana piątka, kareta z dżokerem. Każdy gracz marzy o niej z zaciśniętymi zębami.

No i, jak w pokerze, karty można wymieniać. Przytykiem na małej konsoletce zatrzymuje się te użyteczne i drugim przytykiem wymienia niepotrzebne. Jest to zasada generalna, przy czym większość automatów zatrzymuje te użyteczne sama z siebie. Nie zawsze zgodnie z natchnieniem gracza, ale to już drobnostka, można głupią decyzję maszynerii skorygować.

W Grandzie pierwotnie stały automaty bardziej ugodowe, same z siebie nie zawracały głowy, hazardzista musiał o swoje karty dbać osobiście...

Zaraz, chwileczkę. Zanim co, należy wspomnieć o dublowaniu, możliwości upiornej, która wcale nie wiem, czy już kogoś nie wpędziła do grobu.

Podsuwały ją, tę możliwość, prawie wszystkie automaty bardziej skomplikowane, owocowe i, oczywiście, pokerowe. Była... nie żadne była, tylko jest, można powiedzieć istnieje na bieżąco... dwojakiego rodzaju: czerwone-czarne i małe--duże, z tym że małe-duże też jest dwojakiego rodzaju. Zacznijmy od prostszego.

Rozparzony i chciwy szaleniec z okrzykiem w głębi duszy: Audaces fortuna iuvat! przyciska specjalny guzik na dublowanie, to znaczy podwajanie wygranej. Na ekranie pokazuje mu się karta grzbietem do góry i mrugają pod nią dwa guziki: „red" i „black". Co to znaczy, wszyscy wiedzą, a jak kto nie wie, niech zajrzy do angielskiego słownika. Szaleniec przyciska guzik, jak mu serce dyktuje, i trafia albo nie. Przyciśnie, dajmy na to, czerwone, karta się odwraca, jest czerwona, wygrał, już ma swoje podwójnie, przyciska drugi raz, znów trafia, już ma poczwórnie, przyciska trzeci i chała.

Wybrał czarne, a tu karta czerwona, skusił, stracił wszystko. Głębia duszy szepcze zgryźliwie: „Chytry dwa razy traci".

Tak wygląda dublowanie na czerwone-czarne.

Małe-duże polega na tym, że:

albo pojawia się zakryta karta, zazwyczaj z boku ekranu, i znów mrugają dwa guziki: „smali" i „big". Małe jest wszystko poniżej siódemki z asem włącznie, bo as tu robi za jedynkę. Duże wszystko od ósemki w górę, a siódemka różnie, albo dla bankiera i traci się na nią wszystko, albo neutralna i trzeba ją po prostu przeczekać. Z drżeniem serca ofiara przytyka, a dobrze jeszcze, jeśli jest to automat, który pokazuje poprzednie karty i widać z nich, co chodziło, małe czy

e. A i tak nie musi trafić; albo też pojawia się pięć kart, z których odkryta jest pierwsza i w pozostałych czterech należy znaleźć większą od niej. Istna radość, jeśli tą pierwszą okazuje się as, albo nawet król, dżoker zaś, jak łatwo zgadnąć, oznacza bezapelacyjny przepadek mienia, bo drugim talia nie dysponuje. Niekiedy jednak tą pierwszą jest dwójka i wtedy trafić na drugą dwójkę to już sztuka dla wyjątkowo fartownych.

Trafienie na kartę równorzędną pozwala na powtórzenie dublowania. No i za tym drugim razem podłe ścierwo na froncie ustawi, na przykład, asa...

Z powyższego wyraźnie wynika, że jednak lepsze jest czerwone-czarne, nie wyklucza bowiem wygranej z góry i rezultat pozostawia natchnieniu. W Grandzie pieniły się wszystkie rodzaje.

No to wreszcie bierzemy się za ten Grand.

A, nie, jeszcze nie. Należało może na samym początku powiedzieć, że wszystkie automaty, jak leci, od najprostszych do najbardziej skomplikowanych, odznaczały się, odznaczają i zapewne będą odznaczać do końca swego istnienia jedną wspólną cechą o konsystencji granitu. Mianowicie płacą seriami.

Już w Tivoli wiedziała o tym każda, najgłupsza nawet, baba. Taki podlec nie daje i nie daje, osoba bezrozumna zniechęci się, wpakuje w niego fortunę i nie wytrzyma, odejdzie. Można się założyć o wszystkie pieniądze świata, że osobie następnej pacan wstrętny natychmiast zacznie płacić. Regułą jest niemal, iż zniechęcenie następuje dokładnie na krawędzi wygranej, a wyjątki potwierdzają tylko czarną passę.

I odwrotnie. Automat płaci jak szaleniec, gracz w upojeniu w dostatki opływa, skarby Sezamu migają mu w oczach, pcha się dalej maksymalną stawką. Można się założyć jak wyżej, że straci wszystko, bo żaden automat nie płaci bez przerwy, chyba że zepsuty.

Sztuką największą i wręcz nieosiągalną jest odejść we właściwej chwili. Nikt nie mówi, że na zawsze, cóż znowu, to by już przekraczało normalne ludzkie siły. Ale odczepić się od tego jednego i znaleźć sobie drugi, albo pograć w cokolwiek innego, a ten jeden

niech podpędzi do przodu jakaś pechowa ofiara.

No i właśnie w tym Grandzie...

Tak oto postąpiłam, zastosowałam się do własnych rad i własnej wiedzy. Z wysiłkiem, bo z wysiłkiem, ale jednak. Wygrana byłam niewąsko, automat płacił, jakby mnie nagle pokochał, po pokerze i kolejnej karecie pomyślałam rozsądnie, że czas mu dać spokój. Parę gier bez rezultatu, skończyło się eldorado, teraz już długo nie da nic. Zostawiłam drania i poszłam sobie gdzie indziej, odwracając się nawet plecami do niego, tak że straciłam z nim wszelki kontakt.

Nie minął kwadrans, kiedy przyleciał do mnie życzliwy kibic.

- No i po co pani odeszła? - spytał potępiającym szeptem. - Wysypał trzy pokery i dwie karety! I jeszcze sypie!

No i masz! A czy to człowiek jest Duchem Świętym?

Miałam też sytuację odwrotną. Grałam na automacie > owocowym, a było ich tam kilka, cztery czy pięć, może nawet

sześć. Trafiłam same pomarańcze...

(Niezmiernie trudno udzielać takich informacji kompletnemu laikowi. Fachowiec zrozumie od razu, laikowi trzeba

dodatkowo wyjaśnić, że jeśli na dziewięciu polach na ekranie ustawi się dziewięć sztuk jednakowych owoców, względnie| dzwonków, barów czy czegoś tam innego, oznacza to dużą, i czasem nawet bardzo dużą wygraną. Pomarańcze akurat były najtańsze, ale też niezłe.)

Wiadomo było, że po całej tablicy pomarańcz on już naprawdę nic nie da, przeniosłam się zatem od razu do takiegoż automatu obok. Pięć minut przeleciało i rąbnął mi całą tablicę śliwek. Przeniosłam się do następnego, na co mogłam sobie pozwolić, bo akurat nie było tłoku i automaty stały wolne. Zanim się zdążyłam obejrzeć, już miałam kolejną tablicę pomarańcz. Znów się przeniosłam i w ten sposób ograłam owego wieczoru cztery automaty, a co zrobiłam potem, nie pamiętam. Zapewne poszłam do domu, bo w ogóle było późno i stąd pochodził luz towarzyski. Nawet kibiców nie miałam.

Przy okazji należy zauważyć, że kibice, ogólnie biorąc, stanowili plag? Grandu.

Po pierwszym, chyba nawet dość długim okresie atmosfery eleganckiej i wytwornej namnożyło się tam, uczciwie mówiąc, hołoty. Nasz lumpenproletariat, złożony de facto z ludzi pracy, dzielnie zaczął konkurować z jakimś towarzystwem, którego pochodzenia nie umiałam odgadnąć. Wielkie, grube chłopy, hałaśliwe potwornie, brutalne, agresywne, rozpychające się, ryczące do siebie wzajemnie obcym językiem, dostatecznie charczącym i bełkotliwym, żeby go nie można było rozpoznać, diabli wiedzą, czy to arabski, turecki, węgierski, czy jeszcze coś innego. Europą w każdym razie nie zalatywał. W dodatku byli brudni, a jeśli nawet któryś przypadkiem

był czysty, też na brudnego wyglądał. Wonie roztaczali niekoniecznie kwiatowe i zagarniali dla siebie całe kasyno. Dokładka w postaci naszych kochanych chłopców w rozmaitym wieku, operujących językiem nader monotonnym, stwarzała atmosferę nie do przyjęcia i zniechęcała do bywania w lokalu ludzi mniej więcej normalnych, o ile oczywiście hazardzistów można nazwać normalnymi ludźmi.

Z tych to właśnie sfer rekrutowali się kibice, leżący graczom na plecach. Owe grona, tak nasze, jak obce, były nieznośnie towarzyskie, na jednym automacie grywało ich trzech, a czasem nawet pięciu, i rozpychali się bez opamiętania, bo automaty z natury są jednoosobowe i miejsca przy

nich było dosyć akurat na jedną ludzką sztukę, a nie na całą pielgrzymkę. Który nie mógł się dopchać, ten się gapił na innych, wydając okrzyki, czyniąc liczne komentarze i próbując udzielać rad.

Na dwa tysiące graczy może jeden znajdzie się taki, który lubi asystę. Na ogół każdemu cierpnie skóra na plecach, a to chciwe oko z tyłu wytrąca z równowagi. Grać człowiek pragnie w skupieniu, niejako intymnie, szczególnie jeśli usiłuje posługiwać się natchnieniem, a przy tym mu nie idzie, zastanowić się czasem, jakieś sztuki magiczne zastosować, i od tego kibica za plecami cholery można dostać. A bywa, że parszywiec niefart przynosi. Nie mówiąc już o tym, że rzadko kto jest aż tak uspołeczniony, żeby osobom obcym dostarczać rozrywki za swoje własne pieniądze.

Jednostki kulturalne primo przyglądają się dyskretnie, a nie nachalnie, secundo zaś na uprzejmą prośbę, żeby całkiem przestały, przepraszają i idą gdzie indziej. Kibice w Grandzie awanturowali się i gapili, eksponując swoje prawa, jako goście kasyna. Nie docierało do nich, że aktualny użytkownik automatu wrzuca do maszynerii żywą gotówkę i, jako osobiście zainteresowany finansowo, ma co najmniej prawo do świętego spokoju. Chcieli patrzeć i mieć zabawę, a forsę niech traci tamten głupek. Dochodziło do scen wysoce niesmacznych i w rezultacie kasyno w Grandzie znalazło się na prostej drodze do ordynarnej speluny.

W dodatku opisani wyżej dżentelmeni, wszyscy w czambuł, jak jeden, walili w te automaty pięścią z całej siły, a sił mieli dużo. Zaraz następnym ich krokiem powinno być przyniesienie ze sobą siekiery. Przyciski na normalne prztykniecie wcale już nie reagowały. Dziwiło mnie osobiście, dlaczego obsługa kasyna na to pozwala, dlaczego ich nie wyrzuci, jakim cudem w ogóle ich wpuszcza, spróbowałam to wyjaśnić i cóż się okazało?

Otóż dowiedziałam się poufnie, iż były to mafie, jakieś turecko-rusko-arabsko-cygańskie, upiększone naszymi rodzimymi, które karcącej ich obsłudze solennie przyobiecały zwyczajne kęsim. Z zapałem posuwając się do rękoczynów, wypracowały sobie ciepłe

gniazdko, w którym mogły robić, co im się podobało. Obsługa chciała jeszcze trochę pożyć i nikt jakoś nie miał serca do renty inwalidzkiej, godzili się zatem z sytuacją, pełni wstrętu i czarnych przeczuć.

Czarne przeczucia na szczęście się nie sprawdziły.

Porzuciłam w owym czasie Grand, bo nie byłam obsługą i nie musiałam tej rozrywki wytrzymywać, zanim to jednak nastąpiło, przeżyłam tam jeszcze kilka pięknych chwil.

Gracze, jak wszędzie, po większej części znali się z twarzy. Grywał koło mnie jakiś taki, dość młody, nawet przystojny, sympatyczny i z wąsami. Któregoś dnia przegrał, ja zaś akurat byłam wygrana, pożyczyłam mu zatem jakąś sumę, zdaje się, że pięćdziesiąt tysięcy na stare pieniądze. O wymianie jeszcze wtedy nie było mowy. Oddał dług uczciwie i w terminie, wobec czego po jakimś czasie pożyczyłam mu ponownie. Znów oddał. Za trzecim razem postąpił nieco inaczej, ale wciąż elegancko, przyszedł i przeprosił, że nie odda, bo nie ma z czego i w dodatku nawet się odegrać nie może, bo nie ma na grę.

Z własnej inicjatywy pożyczyłam mu więcej i nie dlatego, że zwariowałam, tylko chciałam się go pozbyć. Sympatyczny, nie sympatyczny, nie mogąc grać, siedział mi nad głową, co mnie, jak zwykle, okropnie denerwowało, a wiedziałam wszak doskonale, że uzyskawszy pieniądze, natychmiast sobie pójdzie. Co też nastąpiło.

Nie miał fartu, dopożyczyłam mu zatem jeszcze trochę i w rezultacie zrobiło się z tego dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Takie rzeczy człowiek pamięta. Usiadłam przy automacie owocowym, porzuciwszy pokerowy, on zaś grał przy innym pokerowym za moimi plecami. Usłyszałam nagle jakieś okrzyki, ściśle biorąc jeden okrzyk, tak w narodzie powszechny, że nawet nie warto go cytować, odwróciłam się i ujrzałam na jego ekranie dużego pokera. Rzadka rzecz, główna wygrana. Okrzyk zaś spowodowany był nie euforią, tylko rozpaczą, grał za jeden żeton, a mógł grać za dziesięć, pół miliona zamiast pięciu!

Za chwilę przyleciał do mnie.

- Pani jest hazardzistka, sama pani mówiła - rzekł nerwowo. - Idzie pani na taką kombinację? Ja to zdubluję. Jak wyjdzie, mamy po pół bańki, jak przepadnie, obydwoje tracimy. Jestem pani winien dwieście pięćdziesiąt, ma pani podwójnie albo wcale. No?

Nie byłabym sobą, gdybym się nie zgodziła. Zaproponował jeszcze, żebym to ja znalazła tę większą od pierwszej odkrytej, bo był to automat, który dublował na zasadzie duże-małe. Odmówiłam z krzykiem i zapowiedziałam, że nawet patrzeć nie będę, ale jednak podglądałam jednym okiem. Facet miał już wokół siebie cały tłum kibiców, każdy chciał zobaczyć nie dość, że dużego pokera, to jeszcze dublowanie, szaleństwo, ryzykować pół miliona! Ostrzegali go dziko i

namiętnie, ale nie dał się złamać, zakrył ręką tę pierwszą kartę i rąbnął w byle który guzik.

Nim jeszcze oderwał rękę, już było wiadomo, że trafił, bo automat wydał z siebie optymistyczne dźwięki i krzyk radosny podniósł się dookoła. Wydłubał króla, okazało się, że pierwszą kartą był walet, gdyby go zobaczył, być może ze zdenerwowania wybrałby źle. Król był jedyny wyższy od waleta, pozostałe karty były mniejsze.

Oddał mi natychmiast moją połowę i prawie się zaprzyjaźniliśmy, co nie przeszkodziło późniejszym pożyczkom, po których się zmył z horyzontu i w ostatecznym rezultacie te pół miliona został mi winien do dzisiejszego dnia. Metodę przy tym zastosował dość prostą, mianowicie znikł z Grandu

na tak długo, że zapomniałam, jak wyglądał, a i tak poznawałam go głównie po swetrze. Kiedy wreszcie, po półrocznej przerwie, pojawił się ponownie w innym odzieniu, wcale nie byłam pewna, czy to on, i nie ośmieliłam się upomnieć energicznie.

Jak już zostało powiedziane, złe prognozy w kwestii losów kasyna w Grandzie nie sprawdziły się. Nastąpiły tam duże zmiany, zapoczątkowane wyrzuceniem na zbity pysk mafijnego towarzystwa. Podobno poszli za daleko, urządzając w lokalu potężne i krwawe mordobicie, które stało się ostatnią kroplą i wreszcie zdołano się ich pozbyć.

Bufet jest na miejscu i od dawna już nie trzeba latać do kelnera. Ustawiono wygodniejsze fotele. Ilość kibiców znacznie się zmniejszyła, narodowe okrzyki rozlegają się rzadziej, a społeczeństwo wyraźnie podniosło poziom.

Największe zmiany jednakże nastąpiły w automatach, osobiście żywię nadzieje, że nie trwałe, bo jakoś lokal pustką trąci. Usunięto wszystkie owocowe, a szkoda. Usunięto pokerowe dawne i na ich miejsce weszły pokerowe nowoczesne, niektóre interesująco zmodyfikowane. W modyfikacje nie będę się wdawać, bo i tak nikt tego na gębę nie zrozumie. Część automatów jest kredytowana, co oznacza, że teraz lata się za odpowiednią osobą z obsługi. Osobie daje się pieniądze, ona zaś ukręca na maszynerii właściwą ilość punktów na kredycie i tymi punktami się gra, niczego nie wrzucając. Nawet wygodnie, tyle że zbytni optymizm staje się męczący, małą sumę trochę za szybko się przegrywa i znów trzeba latać za osobą z obsługi. Przy większej frekwencji obsługa nie nadąża, co powoduje drobne zadrażnienia, w dodatku nie zawsze wiadomo, gdzie obsługę znaleźć. Następnym racjonalnym posunięciem powinno stać się zainstalowanie dzwonków, lub też innych brzękadeł, przy każdym kredytowanym automacie. Klient nie musiałby latać, tylko by brzęczał. Nieszczęściem kasyna w Grandzie jest pełna niemożność zaparkowania w pobliżu w godzinach pracy. Ulica Wspólna jest zapchana po dziurki w nosie i

nawet na płatnym parkingu roweru się nie wciśnie, a co mówić o samochodzie. Jednostki zmotoryzowane zyskują szansę na rozrywkę dopiero od piątej po południu, a i to muszą mieć trochę szczęścia.

Drugie zaś nieszczęście stanowi panująca w lokalu temperatura. W lecie gorąco, w zimie zimno jak piorun. Przy samych oknach krąg polarny, albo może Kamczatka. Na Kamczatce nie byłam, więc pewności nie mam. Gracze, acz rozgrzani namiętnością, to jednak siedzą w paltach, co trochę robi wrażenie dworca kolejowego. Kaloryfery nawet grzeją, może by zatem jakoś uszczelnić te okna...?

Kasyno w Grandzie jest w ogóle, jako kasyno, nietypowe, nie ma tam bowiem ani ruletki, ani żadnej gry w prawdziwe karty, stanowi, jak sama nazwa wskazuje, salon gier automatycznych. Nie od razu jednakże odczepimy się od automatów, ponieważ, po pierwsze, bardzo je lubimy, a po drogie, grać na nich potrafi nawet debil, i to w dodatku łanio. Inne rodzaje gier na ogół wypadają drożej.

Co do ponoszonych kosztów elementem zasadniczym jest wysokość stawki.

Ta pojedyncza, jeden żeton, wygląda rozmaicie. W Grandzie ukształtowała się na poziomie dwudziestu pięciu groszy. Kiedyś było tysiąc złotych na stare pieniądze i w tamtych to czasach zawlokłam do miejsca rozpusty moją przyjaciółkę, owszem, hazardzistkę z upodobania, o tyle ostrożną, że nie mogła sobie pozwolić na zbytnie straty finansowe. Usadziłam ją przy prostym automacie pokerowym, ostrzegłam przed dublowaniem i zostawiłam własnemu losowi. W normlanego pokera grać umiała doskonale, ale migające na ekranie karty trochę ją myliły, nie zdziwiło mnie zatem, że sędzi w bezruchu i gapi się na zjawisko.

- Ty, popatrz - powiedziała do mnie jakoś bezradnie. - Nic nie rozumiem. Co mi się tu zrobiło?

Spojrzałam. Miała dużego pokera, od asa, główną wygraną.

- Za ile grałaś? - wyrwało mi się, ale odpowiedź zobaczyłam od razu. Oczywiście, za jeden żeton, bo nie miała odwagi grać drożej. Wygrała tylko pół miliona.

Zważywszy jednak, że przyszła tam z sumą pięćdziesięciu tysięcy, i tak wyszła na swoje.

- To jest za dobre - oznajmiła, opuszczając kasyno z pieniędzmi. - Ja się tego boję.

A otóż dowcip polega na tym, że mogła grać za dziesięć i wygrać piątkę. Można bowiem grać za jeden żeton, za dwa, za trzy, za dowolną ilość aż do górnej granicy, która bywa różna. W Grandzie, w automatach pokerowych, górna granica wynosi pięćdziesiąt i raz mi się zdarzyło za te pięćdziesiąt trafić karetę. Czy ja mam wyjaśniać, co to jest kareta? No dobrze, cztery karty jednakowej wartości, cztery dwójki, cztery damy, cztery siódemki, cztery asy, cztery cokolwiek.

Już chyba każdy rozumie.

Z tej trafionej za pięćdziesiąt karety nic mi nie przyszło, aczkolwiek była to duża suma pieniędzy, ponieważ rozszalałam się i nadal grałam za pięćdziesiąt, z nadzieją, że trafię piątkę. Dzięki czemu straciłam wszystko.

A czy ja twierdzę, że zasadniczą cechą hazardzisty jest umiar i rozsądek...?

Wyższa stawka daje wyższą wygraną, ale za to pozwala znacznie szybciej przegrywać. Wystarczy, że automat przez jakiś czas nie płaci i już popadamy w nędzę, a straciwszy zasoby w przyśpieszonym tempie, nie mamy za co grać dalej. Niezaspokojona namiętność zagryza nas na śmierć.

Z drugiej znów strony każdy automat ma to do siebie, że z chwilą nagłego obniżenia stawki, gwałtownie płaci. Gramy sobie po dziesięć, albo nawet po dwadzieścia, podlec wstrętny nic nie daje, kredyt leci nam w dół z szybkością kosmiczną, dusza się wzdryga, rozum usiłuje się przedrzeć przez opary szaleństwa, cholera nas trzaska, w nerwach schodzimy do gry za jeden i natychmiast mamy coś dużego. Kolor, fula, karetę, a nawet pokera. Robi nam się ciemno w oczach, próbujemy to bodaj zdublować, rzecz jasna chała. Dublowanie nie wychodzi i co mamy robić? Powiesić się?

Grać dalej za jeden. Wspaniały układ wyskoczył tylko na początku, jeśli ścierwo nie płaci, to nie płaci. Przetrzymamy go na tym jednym żetonie i po paru grach wrócimy do naszych dziesięciu z nadzieją, że czarna seria przeszła. O ile jeszcze mamy za co grać...

Na tę wygraną za jeden należy się z góry nastawić, bo inaczej może nas szlag trafić i kasyno straci klienta.

Istnieją automaty kuszące i takimi Grand dysponuje. Dają mianowicie premię specjalną w określonych układach. Taka premia się zbiera, rośnie, widać ją gołym okiem, jeszcze trochę, jeszcze jedna wygrana -i już nam przypadnie, już ją mamy! Nieszczęsny, rozżarty gracz rodzoną matkę zastawi, żeby sukces osiągnąć, za skarby świata nie porzuci automatu z nabitą wysoką premią, pożyczy, wyzemda, przyjaciół przekształci we wrogów, poleci

na miasto i dokona napadu rabunkowego, a premii z pazurów nie wypuści. Zajmie sobie ten automat bodaj na tydzień...

A, właśnie. Zajmowanie automatów to osobna sprawa. Przyjął się obyczaj przechylania krzesła oparciem ku maszynie takie przechylone krzesło jest szanowane. Bywa, że zostawia się coś na kredycie, względnie własne papierosy i zapalniczkę w korytku pod ekranem. Ludzie jednakże są to ślepe komendy i po pierwsze, potykają się o wystające nogi krzesła, niekiedy przewracając je z hukiem, a po drugie nie widzą ani kredytu, ani przedmiotów. Nie bacząc na nic, ruszają w bój i zaczynają wrzucać swoje żetony, po czym robi się piekło na

ziemi.

Właściwy użytkownik automatu rzuca się z pazurami od razu, nawet jeśli ślepa komenda swoje żetony przegra. Bo mogła wygrać i co wtedy? Do kogo powinna należeć wygrana? Intruz awanturuje się o swoje utracone na cudzą korzyść żetony, ale nikt nie ma dla niego litości, było patrzeć i nie wrzucać. Zasadniczym źródłem konfliktu jest ta hipotetyczna wygrana i jej wątpliwy właściciel i raz wybuchło w Grandzie takie straszliwe wydarzenie, jeszcze na starym automacie pokerowym. Automat był zajęty wyraźnie, kredyt na nim widniał jak byk, tuman boży przy-lazł i wrzucił swoje żetony, a maszyneria złośliwie dała pokera. Nastąpił koniec świata. Dwaj użytkownicy ustrojstwa, jeden prawny, a drugi nielegalny, omal się nie pobili, w sprawę wmieszała się obsługa i wszyscy postronni gracze, rozstrzygnięto rzecz w końcu twardo i niemiłosiernie. Nielegalny dostał z powrotem swoje wrzucone żetony, a wygrana przypadła legalnemu, ale zanim osiągnięto ugodę, działy się straszne rzeczy. Był to niezwykle rozrywkowy wieczór.

Na marginesie i tak między nami mówiąc, jeden raz przydarzyło mi się na owym automacie dublować czerwone-czarne pięć razy i trafić. Żeby już skończyć z Grandem, pozwolę sobie poinformować osoby zainteresowane, iż wykorzystałam go w książce pod tytułem Tajemnica. Siwy bucefał był prawdziwy, tyle że nikt go nie zabił, żyje i grywa do tej pory. Dublującego z fartem przystojniaka też wzięłam z natury. Pojęcia nie mam, kto to był, nie znam człowieka.

Zaraz, chwileczkę. Czy nie zaczęłam przypadkiem pisać aneksu do Aneksu autobiografii...?

Wiadomość z ostatniej chwili:

Otwarto właśnie dodatkową salę, niewielką, ale wyposażoną w interesujące automaty. Na pokerowych stawka wynosi złotówkę, górna granica sięga stu złotych, a wygrać można osiemdziesiąt tysięcy, czyli osiemset starych milionów, jeśli dostanie się dużego pokera i gra się przy tym maksymalną stawką, po sto złotych. Tego dużego pokera jeszcze tam nie widziałam i całe szczęście, bo po sto złotych nie grałam i tylko by mi się zmarnował.

Poza tym salka jest klimatyzowana i wpuszcza się tam gości elektronicznie, obsługa otwiera drzwi. Wyjść można samodzielnie. Osoby źle wychowane i awanturnicze oraz natrętni kibice wstępu nie mają, co stanowi samą przyjemność.

Pozostałe nasze, warszawskie, kasyna są już mniej więcej normalne.

Upojny i radość szczytową budzący jest fakt, iż jedno z nich znajduje się w Pałacu Kultury. Nareszcie budowla zyskała jakieś sensowne przeznaczenie!

W dodatku już sam wystrój rozczulał. Przyćmione światła,

atmosfera wręcz intymna, żadnego tłoku, a w miejsce czerwonych krawatów i kombinezonów roboczych kelnerki w kabaretkach, nie gorsze niż w paryskim nocnym lokalu. Sama przyjemność!

Zważywszy, iż w tym kasynie bywam rzadko, wieloma , atrakcyjnymi spostrzeżeniami służyć nie mogę. Bywam zaś i rzadko z bardzo prostego powodu, mianowicie trzeba tam chodzić po schodach, czego z całego serca nienawidzę. Mam najzupełniej dosyć schodów we własnym domu.

Niemniej, już dość dawno temu, spotkało mnie tam wy-[darzenie wzruszające. Z przyczyn, których już nie pamiętam, musiałam wyjść i udać się dokądś punktualnie, miałam zatem zamówioną taksówkę. Ostatnie pięć minut oczekiwania na nią spędzałam przy bardzo drogiej ruletce, gapiąc się bezmyślnie. Z automatów wyszłam wygrana, mogłam sobie zatem pozwalać na jakieś straty, ni z tego, ni z owego, to co trzymałam w ręku, postawiłam na zero i zero wyszło. Zostawiłam stawkę i zero wyszło ponownie, a zarazem taksówka przyjechała. W ten sposób, w ciągu pięciu minut, wygrałam dodatkowo siedem milionów starych złotych.

Przy okazji, raz na cały utwór, pragnę udzielić informacji ogólnej. Niech się nikomu nie wydaje, że na tych kasynach tak się nieziemsko bogacę. Wręcz przeciwnie, do fartownych nie należę, ponieważ urodziłam się w kwietniu i fundusze na egzystencję jestem zmuszona zdobywać uczciwą pracą. Jednakże z jednej strony zdarza mi się wygrać, z drugiej zaś istnieje generalna zasada: przegranych liczyć nie wolno!

Dlatego prawie wszystkie klęski pozwolę sobie przemilczeć.

Bezwzględnie najbardziej interesujące jest kasyno w Marriotcie.

Primo: dysponuje wszystkimi rodzajami gier. Automaty, ruletka, black-jack, poker, a niekiedy nawet tak zwane koło szczęścia, proszę bardzo, jest w czym wybierać.

Secundo: dba o klientów i osoby niewłaściwe usuwa w krótkich abcugach.

Tertio: wysokość stawek ma nader urozmaiconą. Od pięćdziesięciu groszy do dwudziestu pięciu złotych na pieniądze obecne.

Quarto: nie dość, że prowadzi bufet, to jeszcze z restauracji obok można dostać dowolny posiłek i spożyć go, na przykład, przy automacie.

Quinto: urządza niekiedy imprezy dodatkowe, w których jednostki nieprzeciętnie fartowne wygrywają drobiazgi w postaci samochodu, lub też sztabek złota, jednostki mniej fartowne zaś dostają nader smakowite kanapki i szampana. Co do szampana, nie zalecam, nie jest on bowiem wytrawny i daleko mu do Veuve Clicot, ale to już kwestia gustu. Niektórzy lubią słodkie świństwa.

Sexto: nie trzeba chodzić po żadnych schodach.

Starczy chyba, nie?

Dawno temu, prawie w sekundę po zmianie ustroju, w kasynie w Marriotcie grało się na dolary. Złote polskie powodzenia nie miały. W owym to czasie udały się do miejsca rozpusty moje dzieci, ściśle biorąc mój całkowicie dorosły syn. jego żona oraz dwie goszczące u nich i zaproszone osoby. O dolarowej presji nie wiedzieli, mieli przy sobie bardzo i dużo pieniędzy w walucie rodzimej i przymus ich zaskoczył. Dolary posiadali również, w ilości sztuk trzy. Tak jest, trzy | dolary drobnymi.

Zdaje się, że te trzy dolary miał mój syn. Zostały : wręczone mojej synowej ze stanowczym rozkazem, aby robiła, co chce. Moja synowa, przytomna dziewczy-rozsądnie udała się do ruletki i postawiła jednego raz (mówiłam, że kobiety postępują racjonalniej niż wyżni!) na 30, liczbę swoich lat. I oczywiście 30 przylało.

Kiedy wychodzili, po całym wieczorze rozrywki, mieli | łych dolarów trzysta.

Co do liczby lat, jest to zasada, od wieków sprawdzona, l którą szanują chyba nawet siły nadprzyrodzone. Jeden mój i stary znajomy, kolega po byłym fachu, anty-hazardzista, : który nigdy w nic nie gra, w bardzo dawnych czasach znalazł : w Monte Carlo. Z grzeczności postanowił raz cokolwiek postawić i, rzecz jasna, wybrał ruletkę. Postawił na liczbę swoich lat, a miał ich 32. 32 przyszło, zgarnął całkiem niezłą wygraną i więcej noga jego w tym przybytku nie postała.

Wracając do Marriotta, z dolarów dość szybko zrezygnowano i zaczęłam tam bywać bez przeszkód.

Jako pierwszy, utkwił w mojej pamięci jeden taki. Młody

na, ale nie to mnie zainteresowało. Zgniewał mnie i zgoła wyprowadził z równowagi, ponieważ na okrągło zajmował automat, na którym chciałam grać. Trwało to tyle czasu, że w końcu spytałam obsługę, w czym dzieło i czy on w ogóle niekiedy stąd wychodzi. No i dowiedziałam się, w czym dzieło.

Facet się zaciął. Grał na tym jednym automacie najwyższą stawką bez przerwy, oczywiście przegrywał, brakowało mu pieniędzy, zajmował maszynerię, jechał na miasto po fundusze, wracał i kontynuował szaleństwo. Obsługa się nim zainteresowała, z samej ciekawości wyliczyli, ile przegrywa. W ostatecznym rezultacie władował w pudło dwa i pół miliarda starych złotych.

W końcu, po ładnych paru tygodniach, zabrakło mu pieniędzy albo może ktoś go utemperował. Znikł z horyzontu i mogłam przejąć automat, który podobał mi się z dwóch przyczyn. Korytko do żetonów miał wyłożone jakimś pluszem, który tłumił hałas, i ustawiony był w kącie, obok przejścia służbowego. W razie gdyby jakiś kibic stał mi za

plecami, odpadało głupie gadanie, że przygląda się komuś innemu, i mogłam go wykopać energicznym protestem.

Co do hałasu natomiast...

O nie, nie będę pisać utworu, w którym ktokolwiek miałby mi zabronić wtrętów, wspomnień, uwag własnych i tym podobnych głupot. Właśnie to wtrącę, aczkolwiek z kasynami nie ma kompletnie nic wspólnego.

Otóż okazuje się, że kobiety powyżej czterdziestki zapadają niekiedy na rodzaj nadwrażliwości akustycznej. Wszystkie dźwięki docierają do nich jakoś intensywniej i stają się nieznośne. Stąd, między innymi, konflikt rodzice-dzieci, syn lub córka uwielbiają potężne ryki, a matka od tego szału dostaje. Stwierdziłam to zjawisko na przykładzie jednej mojej przyjaciółki, która cierpiała na maszynę do szycia.

Sąsiadka dwa piętra nad nią maniacko szyła na maszynie. Maszyna maszyną, ale owa moja przyjaciółka przyznała mi się, że, wręcz głupio jej to wyznać, słyszy kota sąsiadów piętro wyżej. Kot, jak wiadomo, stworzenie ciche, a jednak do niej dociera, cóż zatem mówić o maszynie, z natury rzeczy hałaśliwej. Doszła w końcu do stanu, w którym ona, prawnik z powołania, sędzia Sądu Najwyższego, jednostka przeraźliwie praworządna i łagodnego charakteru, zaczęła rozpatrywać możliwość zabicia tej szyjącej baby siekierą na klatce schodowej tak, żeby jej nikt nie złapał.

W tym z przyjemnością wzięłabym udział, ale gorszące sceny nie zdążyły nastąpić. Którejś wolnej soboty moja przyjaciółka zadzwoniła do mnie, prezentując sobą strzęp człowieka.

- Słuchaj, ona szyje - łkała histerycznie w telefon. - Od rana! Ja już nie mogę, nie mogę, nie mogę...!!!

- Zaraz do ciebie przyjeżdżam - powiedziałam pośpiesznie. - Wytrzymaj jeszcze parę minut!

Znalazłam się u niej po kwadransie. Baba rzeczywiście szyła i odczułam to na własnej skórze. Nie ucho było tu ważne, tylko cała reszta anatomii. Na maszynę reagował budynek, rezonował i czuło się te dźwięki w żebrach. Jako były architekt i była żona radiowca wyjście znalazłam od razu.

- Ją trzeba odizolować - stwierdziłam stanowczo. - Wystarczy podłożyć pod tę maszynę kawałek płyty pilśniowej miękkiej i z głowy. Może sobie szyć do upojenia, a ty nic nie usłyszysz.

Moja przyjaciółka w takie szczęście nie uwierzyła. Nadal prezentowała sobą jednostkę nie bardzo ludzką. Zdecydowałam się iść do baby, odmówiła udziału w tej wizycie, ostrzegając, że nie odpowiada za siebie i może dokonać czynów karalnych. Poszłam zatem sama.

Pogawędkę odbyłam przyjaźnie, bo nie ja tu mieszkałam i nie

mnie maszyna zatruwała życie. Facetkę wystraszyła informacja, że słychać ją w całym domu. Zaproponowałam, że płytę pilśniową miękką dostarczę osobiście, zanim to jednak mogło nastąpić, baba z własnej inicjatywy użyła posiadanego wojłoku i nader skwapliwie wetknęła go pod nogi narzędzia pracy. Pomogło od razu.

Krótko potem okazało się, że płyta pilśniowa miękka jest sennym marzeniem i fatamorganą, za tani produkt, żeby go w ogóle można dostać, to po pierwsze, a po drugie, baba szyje chałupniczo nielegalnie i gotowa jest iść na wszelkie ustępstwa, żeby to nie wyszło na jaw. Płytę ukradł gdzieś mój kumpel po byłym fachu, zaniosłam jej, wymieniła na nią swój wojłok, wyżej opisana przyjaciółka zaś zadzwoniła do mnie, płacząc tym razem ze szczęścia, i oznajmiła, że już nic nie słyszy.

Podobne zjawisko stało się też i moim udziałem i, można powiedzieć, znienawidziłam przesadny hałas. Dlatego podobał mi się cichy automat po półgłówku.

Zaczęłam sobie na nim grać. Nie pamiętam już, który to był raz, drugi czy trzeci. Płacił nawet dość przyzwoicie, coś tam przy tym piłam. Woda mineralna, sok grejpfrutowy i piwo znudziły mi się doszczętnie. Zastanawiałam się, co by tu wykombinować innego, i nagle przypomniała mi się whisky. Kiedyś bardzo lubiłam whisky, nie piłam jej od lat, ucieszona odkryciem, poprosiłam o napój, z tym że miało to być trochę whisky i potwornie dużo wody i lodu. Dostałam co trzeba, smak miało właściwy.

Okazało się, że automat też lubił whisky.

Płacił świetnie. Byłam ostro wygrana i błysnęła mi myśl, aby to wszystko wysypać i przy wygranej pozostać. Potem jednak przypomniałam sobie, że nie dla zysku tu siedzę, tylko dla zabawy, niech zatem szlag trafi wysypywanie, nareszcie mogę sobie pograć maksymalną stawką, za dwadzieścia. No i właśnie , tak grałam.

Automat zaś, zapewne doceniając napój, ni z tego, ni l owego, rąbnął mi dużego pokera. Główną wygraną. Bardzo długo baranim wzrokiem wpatrywałam się w te : dwieście milionów na stare pieniądze, nie pojmując, i widzę. Własne szczęście do gry znałam od lat doskonale l głupich złudzeń nie miałam od dawna. Główna wygrana, że poker bez dżokera, to była dla mnie czysta teoria, mnie i nie mogło spotkać w praktyce. A otóż właśnie spotkało. Na taki układ czyhał kretyn, chyba ze dwa miesiące zajmował automat. Nie wytrzymał i sukces spadł na mnie.

No i kto się będzie dziwił, że lubię kasyno w Marriotcie...?

Ogólnie biorąc, w tymże kasynie rozlega się potężny okrzyk, moim prywatnym zdaniem dla kasyn nietypowy.

- Jajka!!! Jajka!!! Trzy jajka!!! Z pożywieniem nie ma to nic wspólnego.

Znajdują się tam dwa zespoły automatów, zaraz, niech policzę, jeden ośmiu, a drugi sześciu, które komasują jakąś ilość gier. Widać na taśmie nad nimi, ile pieniędzy jest do wygrania. Stawka w zespole sześciu wynosi złotówkę, w zespole ośmiu pięćdziesiąt groszy, ale trzeba grać po trzy monety, żeby tę główną wygraną osiągnąć. Automaty zaliczają się do tych nudnych, same bary, niekiedy czereśnie, no i te jajka. Żadne jajka, jest to po prostu jakiś napis, przyznaję się dobrowolnie, że ani razu go porządnie nie odczytałam, uformowany w owalu. Rzeczywiście przypomina jajko w poziomie. Trzy takie jajka dają wygraną generalną, znaczy to, co tam na pasku u góry jest napisane.

Jeszcze nie tak dawno owe trzy jajka były jednakowe. Obecnie różnią się, można powiedzieć, tworzywem. Są mianowicie złote, srebrne i miedziane i taki właśnie układ niezbędny jest dla osiągnięcia sukcesu. Nie trzy złote czy trzy srebrne, ale właśnie cały komplet, złote, srebrne i miedziane.

Dygresja: napisawszy powyższe słowa, popędziłam do Marriotta i treść jajek sprawdziłam. Brzmi ona: JACKPOT, JACKPOT, JACKPOT. (Dla ścisłości należy powiedzieć, że na innych automatach jajka zawierają odmienne napisy.)

W roku ubiegłym, to znaczy dziewięćdziesiątym szóstym, zaistniała sytuacja, kiedy jajek długo nie było i suma do wygrania przekroczyła trzy czwarte starego miliarda. Rozpętało się szaleństwo. Rozpłomienieni hazardziści stali pod drzwiami przed otwarciem, bardziej zacięci niż staruszki w Tivoli, rzucali się ku owym automatom od jajek niczym wygłodniałe hieny na żer, zajmowali je, sprowadzali całe rodziny, jeden podobno przytargał teściową, mowy nie było, żeby osoba postronna wzięła udział w rozrywce. Trafił w końcu te trzy jajka jakiś facet, na którego patrzyłam osobiście. Żaden entuzjazm z niego nie tryskał, dziwiłam się bardzo krótko, odgadłam, że został zaangażowany, być może w miejsce teściowej, i otrzymuje tylko jakiś nikły procent.

Następnie owe trzy jajka do pół miliarda ledwie podskoczyły. Jeszcze były nieco lekceważone. Przyszła Chinka (może Japonka, może Koreanka, może Wietnamka, może coś tam innego z Dalekiego Wschodu, mamy drobne kłopoty z rozróżnianiem, mogła to być także Grenlandka), wrzuciła trzy żetony i trzy jajka jej wyszły wręcz z pocałowaniem ręki. Zważywszy radykalny brak znajomości języka i pewną odmienność rysów, możemy tylko przypuszczać, że była z tego zadowolona.

Po Chince ujawniła się wreszcie jakaś sprawiedliwość. Na trzy jajka trafił stały gracz, któremu się to uczciwie należało.

Wiadomość z ostatniej chwili:

Na tym pasku u góry widniało już przeszło sto czterdzieści tysięcy

nowych złotych i sprawa zaczynała być wysoce interesująca, kiedy przyjechał gość z Wrocławia, wrzucił trzy pierwsze pięćdziesięciogroszówki i trzy właściwe jajka ustawiły mu się same. Oto klasyczny przykład rzetelnego fartu!

Drugi zestaw automatów, ten złożony z sześciu sztuk, wypada kosztowniej, bo trzeba wrzucać po pięć złotych, żeby korzyść z trzech jajek osiągnąć. Jeśli trafi sieje za dwie złotówki, albo nawet za cztery, głównej wygranej nie będzie i jajka zostaną zmarnowane. Z niewiadomych przyczyn te złotówkowe dają trzy jajka częściej i owa suma do wygrania, widoczna na pasku u góry, bywa mniejsza, co oczywiście łagodzi sensację.

Jednostka z młodszego pokolenia, syn mojego kumpla, niejaki Tadzio, koniecznie chciał zobaczyć kasyno, w którym nigdy nie był.

- Żaden problem - powiedziałam bez emocji. - Możemy jechać nawet zaraz, wszystko ci pokażę.

Tadzio się ucieszył, skoczył szybko do domu, żeby ubrać się w krawat, co o tyle nie miało sensu, że w moim mieszkaniu do dziś wiszą krawaty po moich synach i spokojnie mógł włożyć którykolwiek, a nie o urodę mu przecież chodziło. Marriott też pod tym względem nie zgłasza żadnych wymagań, krawat może być w różowe małpy, względnie żałobny, ganc pomada, byle był. Za to na miejscu okazało się, iż przeszkodę stanowią dżinsy, które nam nie przyszły do głowy.

Jednakże, po krótkim wahaniu, w drodze wyjątku i na moją prośbę, Tadzia wpuszczono. Zapewniłam solennie, iż, mimo dżinsów, zachowa się przyzwoicie, znam go prawie od urodzenia i biorę na siebie za niego odpowiedzialność. Pokazałam mu palcem wszystko, zarekomendowałam automaty pokerowe, Tadzio wymienił fundusze na złotówki i zasiadł do gry.

Miał przy sobie pięćdziesiąt nowych złotych. Wcześniej moja przyjaciółka wzięła do Grando pięćdziesiąt tysięcy starych, później druga też wzięła pięćdziesiąt nowych. Pojęcia nie mam, dlaczego wszystkim nowicjuszom suma pięćdziesiąt uparcie wydawała się właściwa i tyle ze sobą brali. Nie wnikając w jego poglądy, też zasiadłam do gry.

Po krótkiej chwili Tadzio oznajmił, że tu mu się nie podoba i pójdzie tam.

- Możesz - zezwoliłam z roztargnieniem. - Tam też po złotówce. Ale tamte są nudne.

Nie szkodzi, Tadzio chciał nudne. Jego rzecz. Zajęłam się własną grą i po kolejnej krótkiej chwili usłyszałam od strony owych jajeczno-złotówkowych automatów przeraźliwe brzęki i dydolenie. Przyleciał rozpromieniony Tadzio i oznajmił, że właśnie trafił piec milionów na stare pieniądze i całkiem mu to starczy do szczęścia, kasyno ogromnie

mu się podoba, ale bardzo się go boi i zaraz sobie idzie.

Przydarzyła mu się któraś z głównych wygranych, trzy siódemki zapewne, bo, niestety, nie trzy jajka, a szkoda. W każdym razie pięć milionów wziął i więcej się tam nie pokazał.

Normalna sprawa, jednostka, po raz pierwszy obecna w miejscu rozpusty, z reguły wygrywa.

A propos brzęków i dydolenia, jajeczne automaty tym się odznaczają, że wysoka wygrana wymaga obecności obsługi technicznej i wypłaty gotówkowej. Zanim nie nastąpi ponowne włączenie automatu, koszmarne urządzenie gra. Gra...! Trudno to nazwać grą, denerwujące rzępolenie na jednej strunie budzi chęć wydania rozpaczliwego okrzyku:

- Mamusiu, kiedy ten pan wreszcie przepiłuje tę skrzynkę?!

Rzępolenie trwa przy tym potwornie długo, cel zaś ma dyplomatyczno-reklamowy. Żeby wszyscy zauważyli, że na tym draństwie też można wygrać. Może i racja, zdaje się, że łatwiej wygrać, niż wytrzymać te dźwięki, nie jestem muzykalna, ale nawet i mnie uszy więdną. Osoby obdarzone lepszym słuchem zielenieją na twarzy i zaczynają do wtóru zgrzytać zębami...

* * *

W ścisłym związku z automatami powiało w tymże kasynie nieodgadnioną tajemnicą i zjawiskiem niepojętym.

Największym powodzeniem cieszyły się i cieszą automaty pokerowe, pomijając oczywiście sporadyczne walki z jajkami. Tych pokerowych jest za mało, więcej stoi nudnych i w rezultacie pokerowe są oblężone, a pozostałe się marnują. To tak na marginesie, nawet przy ostatnich nowych zakupach sprowadzono nie to co trzeba, czego zrozumieć nie potrafię, bo każdy widzi, co się dzieje. Kierownictwu powinno chyba zależeć na grze? Skoro naród pcha się do karcianych, należałoby mu dostarczyć ich więcej, a nie mniej. Ciekawe, kto o tym decyduje...

Nie w tym jednak leży sedno rzeczy.

Owe pokerowe automaty prezentują sobą dwa rodzaje, jeden rodzaj po złotówce, drugi po pięć złotych, a nie tak dawno jeszcze był po dwa. Pięć złotych trochę graczy spłoszyło, powoli się przyzwyczajają, ale wciąż z lekkimi oporami, bo żre to pieniądze w przerażającym tempie. Górna granica wysokości stawki na złotówkowych wynosi 20, a na tych piątkowych 5, a gra się w ogóle żywą gotówką.

Wszystkie proponują dublowanie, co ma swój sens. Pod warunkiem, że wyjdzie, i tu właśnie zbliżamy się do tajemnicy.

Wśród klientów kasyna pałęta się olbrzymia ilość Dalekiego

Wschodu. Zważywszy pewien brak ścisłej wiedzy o rasach ludzkich, nikt nie wie, czy są to Japończycy, Chińczycy, Koreańczycy, czy jeszcze co innego i wobec tego określa się ich ogólnie mianem Japończyków lub też mówi się zwyczajnie „żółte i skośne". No i oni dublują...

Sposób dublowania na wszystkich automatach jest ten sam, działa na zasadzie duże-małe, z tym że ustawia te pięć kart, pierwsza odkryta i szukamy większej od niej w pozostałych czterech. Biała rasa dostaje na front asy, króle, dżokery, a nawet jeśli piątki czy siódemki, to dalej pojawiają się dwójki i trójki. Nie trafi nieszczęsny większej, skoro w ogóle jej nie ma. Żółta, z przyczyn nieznanych, na początku miewa coś byle jakiego, dalej same duże, a nawet jeśli z przodu wypadnie im król, to gdzieś tam z pewnością tkwi as, którego potrafią wywęszyć. Dżokera na front nie dostają nigdy.

Z jednego układu, z dwóch par albo trójki, tym piekielnym dublowaniem uzyskują majątek, stosują je przy każdej grze i po pięć razy im wychodzi. Jak oni to robią? Zdenerwowani gracze rasy białej usiłują ich podglądać, także naśladować z rezultatem opłakanym, zastanawiają się wszyscy, czy to nie jakaś radiestezja, albo może telepatia, ale nawet jeśli dzięki talentom nadprzyrodzonym odnajdują tę większą kartę, to cóż sprawia, że im ta pierwsza wyskakuje mała? Na to żadna telepatia nie może mieć wpływu!

Przemyśliwano, żeby się może do nich jakoś upodobnić. No owszem, zżółknąć dość łatwo, chociażby z samej zawiści, tylko z tymi oczkami nie bardzo... Zjawisko jest zgoła metafizyczne i nie do zniesienia denerwujące.

Osobiście podpatrzyłam, że im, tym żółtym i skośnym, też jednak czasem nie idzie. Zaczyna taki Japończyk delikatnie, po jednej monecie, i od razu łapie się za dublowanie. Jeśli mu nie wychodzi, przestaje grać. Jeśli wychodzi, dopieroż się rozpędza! Wtedy go właśnie widać i słychać, bo maszyneria brzęczy, a on już gra najwyższą stawką i furt dubluje. Raz jeden z nich, a siedziałam akurat obok niego, jednym ciągiem dublowania nabił przeszło trzy tysiące punktów, czyli przeszło trzydzieści milionów na stare pieniądze. Dojechał do sześciu tysięcy, prztyknął na aut, pardon, chciałam powiedzieć wypuścił bilon, i poszedł sobie, ostro wygrany.

Bez dublowania nie grają nigdy, w przeciwieństwie do graczy rodzimych.

Raz mi się zdarzyło dublować coś tam małego i trafić na większą kartę cztery razy.

- Czy pani już zżółkła? - spytał z troską mój sąsiad. - Może to wątroba...?

Osobliwe zjawisko szaleje w Marriotcie nadal i wciąż nikt go nie może zrozumieć.

Główna wygrana, ów poker od asa i bez dżokera, na automatach złotówkowych wynosi dwadzieścia tysięcy złotych na nowe pieniądze (na stare dwieście milionów, przyjemniej brzmi), a na piątkowych dwadzieścia pięć tysięcy. I proszę bardzo, mogę się pochwalić kilkoma niezwykłymi sukcesami, bo coś takiego zawsze miło wspomnieć. Nad przegranymi roztkliwiać się nie będę.

Po wygraniu w ubiegłym roku... a może to było trzy lata temu, nie upieram się co do daty, czas szybko leci... sześciuset milionów jednego wieczoru, co mi pozwoliło odkupić sobie wreszcie samochód, potwornie długo nie wygrywałam nic i byłam bardzo zadowolona, jeśli udało mi się możliwie mało przegrać. Doszłam w końcu do wniosku, że dosyć tego, siła wyższa powinna wreszcie pofolgować, bez żartów. Czas na wyjście do przodu.

Uczepiłam się jednego automatu z nadzieją, że trafię na jego dobrą passę. Nieobowiązkowy podlec nie spełniał swojego zadania, czkał wygranymi jak z łaski, moja nadzieja nieco zwiędła i smętnie zaczęłam grać nie po dwadzieścia, tylko taniej, to po dziesięć, to po pięć, to czasem nawet po dwa. No i oczywiście, kiedy grałam po pięć, ścierwo dało mi tego dużego pokera!

O mało mnie szlag na miejscu nie trafił. Tego dużego pokera chciałam dostać przy grze po dwadzieścia, po pięć został wręcz zmarnowany! Pięćdziesiąt milionów, zamiast dwustu, wstyd i obraza boska! Rozzłościłam się tak, że postanowiłam to przegrać, po dwadzieścia będę grała, niech mam przynajmniej rozrywkę.

No i nastąpił cud. W dwie minuty później, kiedy konsekwentnie grałam po dwadzieścia, dał mi drugiego dużego pokera.

Uczciwie przyznam, że nie wierzyłam własnym oczom. Zastanawiałam się przez chwilę, czy mi się to nie śni. Nie, nie śniło, dał naprawdę, dwa duże pokery raz za razem, wypadek zgoła niespotykany. Odbiłam straty!

Pojęcia nie mam, co przy tym piłam, i nie zdołałam zapamiętać, jaki napój ten automat lubi.

Po kolejnym, na szczęście już krótszym, okresie przegrywania, znów zaczęło mi się wydawać, że czas na odmianę. Automat w zasadne zgadzał się ze mną, płacił dość przyzwoicie, ale i tak byłam przegrana, bo na początku pograłam trochę na tym droższym, po pięć złotych, a ten mnie akurat nie lubił. Pograłam z konieczności, wszystkie złotówkowe były zajęte, zmieniłam miejsce dopiero, jak się jeden zwolnił. Na kredycie już miałam przeszło dwa tysiące, niby nieźle, ale ciągle trochę mało.

Gracz obok, ściśle biorąc pan Zbyszek, zaproponował delikatnie, żebym może to wysypała i wyszła z interesu wygrana. Zaprotestowałam energicznie, nic z tych rzeczy, wcale jeszcze nie jestem wygrana, gram dalej, albo się odbiję, albo będę miała

przyjemność, też dobrze. Grać za pieniądze automatu to sama frajda!

Pan Zbyszek w ogóle, mogę to wyznać publicznie, przynosi mi szczęście. Ilekroć z dobroci serca poprosi, żebym się przestała wygłupiać, brać co swoje i w zarośla, zawsze wtedy wygrywam więcej, przeważnie drugie tyle. Nie pamiętałam o tym wprawdzie w owym momencie, ale siła wyższa działała.

Nie zmniejszałam stawki, grałam po dwadzieścia, kredyt ostro zjechał, błysnęła mi myśl o oszczędnościach, na szczęście jednak nie zdążyłam jej wprowadzić w czyn. Do asa i dziesiątki treflowej automat dołożył resztę i znów dostałam dużego pokera!

Specjalnie poleciałam szukać pana Zbyszka, żeby sam zobaczył. Ładnie bym wyszła, gdybym wyszła! Zgodził się, że istotnie, nie należało, pograłam jeszcze chwilę na tym samym automacie ze zwykłej grzeczności, po czym wróciłam do tego piątkowego, od którego zaczęłam. Skoro byłam wygrana, nareszcie mogłam sobie na nim pograć bez stresów.

Grałam rozmaicie, to po jednej piątce, to po dwie, to po pięć, nadziei wielkich nie miałam, bo w końcu ile można wymagać, głównie korciło mnie dublowanie, które szło jak krew z nosa, kredyt się miotał to ku górze, to ku dołowi, w końcu zszedł już całkiem nisko, jako jednostka wygrana i z natury lekkomyślna, rąbałam po pięć, a, niech go szlag trafi, no i nagle maszyneria sama z siebie, w pierwszym rozdaniu, bez wymieniania kart, ustawiła elegancko kierowego pokera.

Nie miałam czasu gapić się na niego i nie wierzyć własnym oczom, bo te automaty w takim układzie od razu zaczynają wysypywać część wygranej. Musiałam to łapać, żeby mi nie brzęczało zbyt głośno, bo ciągle nie lubię przesadnego hałasu. Niemniej był to kolejny, prawdziwy, porządny cud, który wspominam z roztkliwieniem.

Czy naprawdę ktokolwiek mógł przypuszczać, że ja tu będę eksponować straty i klęski?

A jeśli nawet, to przecież nie własne...!

Skoro już ogólnie jesteśmy przy Marriotcie, należy zauważyć, że kasyno urządza niekiedy rozmaite kuszące imprezy.

Pierwsza polegała na wygrywaniu samochodu, nie pamiętam już, co to było, lancia...? Ferrari...? Volvo...? Coś porządnego w każdym razie. Stał ten samochód przed hotelem, każdy mógł go widzieć i nabierać na niego oskomy. Bilety loteryjne zaś zdobywało się również przy pomocy wygrywania, mianowicie, o ile jednym kopem wygrało się odpowiednio wysoką ilość żetonów, obojętne przy czym, dostawało się bilet. Generalni pechowcy nie mieli żadnych szans. Im szczęśliwiej ktoś grał, tym więcej możliwości zdobywał, aczkolwiek ogólnie wiadomo, że los bywa grymaśny i złośliwy. Jeden obstawia

sto kombinacji i przegrywa wszystkie, drugi szarpnie się na jedną i zdobywa główną nagrodę. Tu jednakże wszyscy się pchali z nadzieją i stosowali najwyższe stawki, żeby zdobyć bilety loteryjne.

Następnie odbyła się uroczystość losowania, przy której popełniono błąd organizacyjny. Na miejsce zabawy przeznaczono salę kasyna, kierownictwo nie przewidziało frekwencji i tłok zapanował przeraźliwy, ścisk jak w tramwaju w godzinach szczytu. Piekło na ziemi kotłowało się dość długo, bo do wygrania były także nagrody pomniejsze, pierścionek z brylantem, złote monety, kalkulatory podręczne, aparaty fotograficzne i tym podobne duperele. Przyszła wreszcie pora na samochód i wygrał go jakiś facet spoza Warszawy, wyglądający na takiego, któremu własne samochody już się nie mieszczą w garażu. Jednostka z fartem.

A był tam także jakiś inny, posiadający całą walizkę biletów loteryjnych, w których grzebał gorączkowo i na tę całą walizkę nie wygrał nic, nawet najmniejszej nagrody pocieszenia.

Zrobiono turniej black-jacka, w którym pierwszą nagrodę stanowiła wycieczka do Rio de Janeiro akurat na Sylwestra. Wzięłam w nim udział nie wiadomo po co, bo z jednej strony w takich rzeczach nigdy nie wygrywam, z drugiej zaś wcale nie chciałam jechać do Rio de Janeiro. Usiadłam do gry chyba tylko po to, żeby przynieść pecha jednemu takiemu, który w ostatniej turze stracił pierwsze miejsce na rzecz fartowniejszego i był święcie przekonany, że to przeze mnie. Miałam miejsce przed nim i źle dobierałam karty. Zelżył mnie nawet pod nosem, chociaż nie jestem pewna, czy nie był to komplement, sugerował bowiem, jakobym cieszyła się niezwykłym powodzeniem u płci przeciwnej. W moim wieku...?

Odbywają się także turnieje na jajkach, mam na myśli owe automaty z jajkami. Każdy dostaje po sto żetonów i gra się na czas, wygrywa ten, komu po kwadransie zostanie najwięcej. Jeden raz przytrafiła mi się na tym zdobycz w postaci lampy kwarcowej, moi znajomi zaś wygrali dwutygodniową wycieczkę do Tunezji.

Wiadomość z ostatniej chwili:

Dyrekcja kasyna okazała wielki rozsądek i dokupiła kilka automatów pokerowych z tych najbardziej pożądanych. Z dżokerem i po złotówce. No, jeden po pięć, ale robi dobre wrażenie. Ponadto pięciozłotowe przeprogramowano, górna granica wynosi 50 złotych i za dużego pokera dostaje się 50 tysięcy, co robi wrażenie jeszcze lepsze.

Poker pokerem, ale gdyby nasz rząd tak uwzględniał postulaty społeczeństwa, żylibyśmy zgoła w raju...

Od automatów definitywnie odczepić się nie zdołamy, bo znajdują się wszędzie i stanowią wielką atrakcję, spróbujemy jednakże przejść do gry najściślej kojarzącej się z kasynami i budzącej

najgłębszą zgrozę. Jest to mianowicie:

RULETKA

Ruletka, jako taka, była dla mnie, Bóg raczy wiedzieć od kiedy, pojęciem doskonale znanym. Grać na niej umiałam od urodzenia i do dziś dnia nie wiem, skąd mi się to brało.

Zapewne jest to jakaś tajemnicza właściwość organizmu. Powodów racjonalnych i zrozumiałych brak, nie stykałam się z nią bowiem bezpośrednio i grywałam najwyżej, bardzo rzadko, na zabawkach dla dzieci, takich prztykanych własną ręką, przemycanych z krajów zachodnich.

W jakimś momencie życia znalazłam się w hotelu „Pod Różą" w Krakowie. Musiało to być niezbyt dawno, ponieważ kasyno prosperowało już w nim w najlepsze. Rzecz jasna, do tego kasyna natychmiast poleciałam.

Pieniędzy nie miałam wcale. Cały mój majątek stanowiło pięćset tysięcy starych złotych, a więcej nie wzięłam w przekonaniu, że za spotkania autorskie zapłacą mi na bieżąco. Tymczasem okazało się, że nic z tego, płacą przelewem na konto i cześć pieśni. Pozostałam zatem na tym jednym posiadanym banknocie, z którym mogłam zrobić, co mi się podobało.

Stanęłam sobie nad ruletką. Tłok przy niej panował średni, można się było dopchnąć bez wielkiego trudu. Od pierwszego momentu tajemniczy głos w duszy zaczął się mnie czepiać, twierdząc, że przyjdzie 28. Gapiłam się, tłumiąc głos. Czasu miałam ile chcąc, wciąż jeszcze trwało obstawianie. Kasa wymiany na żetony znajdowała się o dwa metry ode mnie. Mogłam wymienić swoje pięćset tysięcy na cokolwiek, mogłam całość postawić na te 28. Nic z tych rzeczy, trwałam w bezruchu, wpatrzona w numer, w stu procentach pewna, że będzie 28. Kulka ruszyła, obstawiona była cała tablica, z wyjątkiem 28. Moja dusza wrzeszczała na ten temat, jeszcze w ostatniej chwili mogłam zwyczajnie rzucić pieniądz na te parszywe 28, a skąd, paraliż mnie tknął nieodwracalny.

No i co przyszło? Imbecyl zgadnie. Oczywiście, że 28.

Od tego momentu postanowiłam przy ruletce kierować się natchnieniem.

Ruletka w Marriotcie wygląda rozmaicie nie tylko pod względem kosztów i nie wszystkie stoły są jednakowe. Zacznijmy od różnic prostych, matematycznych, wyzutych z metafizyki.

Wysokości stawek kształtowany się różnie, zdaje się, że obecnie najtańszy stół jest po złotówce, może po dwa i pół złotego, a najdroższy po dwadzieścia pięć złotych, po drodze są jeszcze stoły po pięć i po dziesięć. Łatwo zgadnąć, że im droższy, tym szybciej można na nim zdobyć oraz stracić majątek.

Raczej stracić...

(Sprawdziłam i dokonuję sprostowania: najniższa stawka ruletki wynosi dwa złote pięćdziesiąt groszy. Zdaje się, że złotówka istniała tylko przez kilka tygodni, a może nawet wcale.)

Ruletka ma jeszcze to do siebie, że, w przeciwieństwie do automatów, stanowi grę niejako zbiorową. Widać wyraźnie sukcesy i klęski współgraczy i można się uczyć na cudzych błędach. Namiętności budzi ogromne.

Na niej najlepiej widać prawo serii, rządzące hazardem, złą i dobrą passę, oraz ich właściwości. Porzucić ruletkę we właściwej chwili, odejść od stołu kiedy należy, to już sztuka potężna, znacznie większa niż przy automatach, rzadko komu dostępna.

Sposoby gry bywają rozmaite.

1. Zawsze na te same liczby.

2. Wyłącznie na kolor, zwiększając stawkę w razie przegranej.

(Tu osobom, nie kochającym przesadnie matematyki, należy zwrócić uwagę, że zwykłe podwajanie stawki zbytnio ich nie wzbogaci. Wygrają najwyżej jeden żeton, nawet gdyby doszli w swoim szaleństwie do tysiąca. Łatwo to wyliczyć, przegrali jeden, postawili dwa, przegrali, postawili cztery, przegrali, postawili osiem, to już razem piętnaście. W tym momencie, przy ośmiu, wygrywają i odbierają szesnaście. Różnica na ich korzyść wynosi jeden i tak będzie zawsze. Stawkę należy zatem potrajać, co wprawdzie stwarza wielkie nadzieje, ale zarazem szybko zbliża ich do bankructwa.)

3. Wyłącznie na kornery (skrzyżowania pól, obstawia się cztery numery równocześnie i oczywiście odpowiednio mniej się wygrywa).

4. Ruchem konika szachowego.

5. Na własną datę urodzenia, ślubu, na numer prawa jazdy, na datę bieżącą, na cokolwiek, co nam w pamięci utkwiło albo co uważamy za szczęśliwe.

(Przy którejś kolejnej imprezie z nagrodami bilety na losowanie dostawało się, kiedy gracz trafił na numer zgodny z datą bieżącą. Jedenastego, na przykład, trzeba było wygrać na jedenastkę. Nazajutrz na dwunastkę. I tak dalej.)

6. Na liczbę lat, ale ta możliwość dotyczy tylko osób niezbyt wiekowych, poniżej trzydziestego siódmego roku życia, ruletka bowiem zawiera numerów 36. No i zero. Nie wiadomo, jak je traktować.

7. Na obstawianie wszystkich tych samych cyfr, to znaczy 2, 12, 22, 32 albo 5, 15, 25, 35, albo 7, 17, 27 i tak dalej.

(Znałam jednego takiego pana, który twierdził, że na tę ostatnią machinację zawsze wygrywa. Zachęcona jego powodzeniem, spróbowałam ją zastosować, niestety, nie bardzo dobrze mi wyszło. Główny kłopot miałam z wyborem, od czego zacząć i czego się uczepić po takiej, na przykład, gęsto chodzącej trójce. Szóstki? Siódemki?

Jedynki...? A diabli wiedzą...)

8. Na natchnienie.

9. Na byle co.

10. Na dowolnego szczęśliwego gracza. Ten ostatni sposób sprawia, że wyżej wymieniony gracz dość szybko przestaje być szczęśliwy.

11. Na pechowca. Rzecz jasna, grając przeciwko niemu.

12. Na tabliczkę mnożenia. (Ósemka wyszła, powiedzmy, dzieli się przez 2 i przez 4, dwa razy osiem to szesnaście, trzy razy osiem - dwadzieścia cztery, dalej 32 i 40. Już widać, co należy obstawiać...)

13. Zamknąwszy oczy, na cokolwiek.

14. Na rozum Metoda nader wątpliwa.)

Przegrać można bez trudu na wszystkie sposoby.

O jednej sprawie należy tu chyba napomknąć, bo nie każdy tę wiedzę posiada. Otóż stawia osoba swój kochany żetonik na przykład na 20. Fortuna osobie sprzyja, 20 wychodzi. Osoba dostaje trzydzieści piec żetonów, a ten trzydziesty szósty, jej własny, pozostaje na numerze. Przymusu nie ma, może go zabrać i postawić na CO innego.

Nie radzę.

I zaraz powiem, dlaczego, tylko przedtem jeszcze przypomnę o wysokości stawek. Jeden żeton to jest pięć złotych, dziesięć, dwadzieścia pięć, zależnie od stołu, można grać po jednym żetonie, a można grać i po dziesięć. Zdaje się, że dziesięć na jednym numerze stanowi w naszych kasynach górną granicę. Czepia się człowiek jednego numeru, takiej, powiedzmy, trzynastki, trzynastka nie wychodzi, stopniowo podnosi stawkę, dokładając żetonów z nadzieją, że jeśli wyjdzie, on się od razu odegra...

Nie za to ojciec bił syna, że grał, tylko za to, że się, kretyn młody, postanowił odegrać. To tak na marginesie.

...Dochodzi do tych dziesięciu, rusza dalej, na numer już więcej pchać nie może, bo osiągnął limit, zaczyna obstawiać dookoła splity i kornery...

O masz ci los, to też chyba nie wszyscy wiedzą...

Naukowo ruletka, a także inne gry kasynowe, zostały opisane przez pana Hucznego, byłego krupiera, niewątpliwie fachowca. Nie zamierzam tu z nim konkurować. Niemniej jednak coś niecoś o niej należy powiedzieć.

Pole do obstawiania wygląda następująco:

Jedne numery są czerwone, a drugie czarne, mniej więcej w kratkę,' a zero jest zielone. Ponadto, jak widać, wszystko dzieli się przez trzy, w pionie i w poziomie. Można zatem stawiać rozmaicie, na każdą dwunastkę, na czerwone i czarne, na parzyste i nieparzyste, na pojedynczy numer, na dwa numery razem, kładąc żeton na kresce pomiędzy polami i to się nazywa split, na cztery numery, kładąc żeton na skrzyżowaniu linii i to się nazywa korner, a także na numery, sąsiadujące ze sobą na kole. Wszyscy wiedzą, że kulka lata po kole, koło zaś, rzecz jasna, ma układ pomieszany, a nie chronologiczny. Gdyby stół miał również układ pomieszany, gracze prawdopodobnie dostaliby obłędu.

Wygrywa się różnie, zależnie od gry. Jak sama logika wskazuje, skoro kolorów jest dwa, można na nie wygrać podwójnie. Tuzinów trzy, zatem potrójnie. Numerów trzydzieści sześć, nie licząc zera, wobec czego wygrywa się trzydziestosześciokrotnie. Teoretycznie, w praktyce jest to 35 żetonów za jeden, za to nasza stawka pozostaje na zagranym numerze. Rzecz oczywista, można grać drożej, stawiając więcej żetonów, aż do dziesięciu.

No i tutaj wracamy do tej sierotki, naszego pozostałego na stole żetonu.

Ładne parę lat temu narwałam się na ten błąd osobiście. Czepiałam się zera. Grałam i grałam na to cholerne zero, a ono nie chciało wyjść. Stawiałam już po cztery i pięć żetonów, może nawet czasem i sześć, wyciągniętym kłusem zbliżając się do bankructwa, aż wreszcie wyszło. Odetchnęłam z ulgą i wypowiedziałam najgłupsze słowa w życiu:

- No, drugi raz zera nie będzie.

Po czym zabrałam te automatycznie pozostawione żetony.

No i co? Natychmiast po raz drugi wyszło zero.

Że mnie w tym kasynie dotychczas nigdy szlag nie trafił...

Nie zliczę, ile razy widziałam identyczny obrazek, z tym że już nie mnie dotyczył, tylko innej ofiary. Drugi raz takiego kretyństwa udało mi się nie popełnić.

Tu pozwolę sobie na dygresję, niejako historyczną. W Tivoli też była ruletka, nader uproszczona. Na wielkim kole nie latała kulka, tylko stalowy ząb terkotał po pionowych szpikulcach, zatrzymując się w końcu na jakimś numerze. Przypominało to chłopczyka, pędzącego wzdłuż parkanu i ciągnącego patyk po sztachetach, a obejrzeć można w każdej chwili w naszej Wielkiej Grze, na ekranie telewizora.

Sposób gry na przeczekiwanie pozwoliłam sobie opisać w utworze Wszystko czerwone.

No i tam też. Czwórka na przykład, nie wychodziła i nie wychodziła, ząb ją starannie omijał, za to jak wyszła, to parę razy z rzędu. W Tivoli zyskałam pierwsze okruchy wiedzy o prawie serii.

Zapomniałam powiedzieć, chociaż to chyba jasne samo z siebie, że nie ma zakazu gry nawet na wszystko razem, z całą tablicą włącznie. Można obstawiać czerwone i czarne równocześnie, aczkolwiek sensu to nie ma żadnego, parzyste i nieparzyste również, oraz tyle numerów, ile ich jest. I niektórzy tak robią, obstawiają całe pole, z tym że różnie, na jedne numery stawiają jeden żeton, na inne pół, na jeszcze inne po osiem, dziesięć i w ogóle tyle, ile regulamin pozwala. Potem objawia się te pół i wychodzą na tym jak Zabłocki na mydle.

Gra się wyłącznie żetonami w różnych kolorach, każdy dostaje kolor dla siebie i łatwo mu zapamiętać, co obstawił, a przy tym nie ma wątpliwości, do kogo należy wygrana. Brązowe tego pana i nikt się pod tego pana nie podszyje. Wymiana gotówki na żetony odbywa się bezpośrednio u krupiera i nie trzeba latać do kasy, co znakomicie ułatwia szybkie przegrywanie większych sum.

Przy ruletce widywałam sceny wstrząsające finansowo.

Raz jeden taki grał w dzikim szale, jeszcze na stare pieniądze. Gotówkę wyrywał z kieszeni i obstawiał wprawdzie nie wszystko, ale

za to drogo. Przegrywał koncertowo, za każdym obrotem kulki pozbywał się całości otrzymanych żetonów i tracił trzydzieści milionów. Jakąś taką miał normę, trzydzieści milionów za jednym zamachem, specjalnie policzyłam ze zwyczajnej ciekawości. Nie grałam na tym stole, spojrzałam przypadkowo, przechodząc, i zatrzymałam się, patrząc, co z tego wyniknie.

Sto osiemdziesiąt milionów stracił w moich oczach i wyraźnie było widoczne, że los go nie lubi. Zaczął go lubić czy nie, pojęcia nie mam, bo znudziła mi się ta zabawa i poszłam dalej, zająć się własnymi sprawami.

I odwrotnie. Grałam przy jednym stole delikatnie, przeważnie przegrywając, razem ze mną zaś grało, między innymi, dwóch Japończyków. Nie trzymali się określonych numerów, stawiali różnie najwyższe stawki i przychodziło im wszystko. Za każdym obrotem kulki wygrywali po trzydzieści pięć starych milionów, odwrotnie niż tamten pechowiec. Poniechali gry i odeszli natychmiast po pierwszej przegranej.

Osobiście przy ruletce doznałam cudu kilkakrotnie.

Zawsze grywam na zero. Racjonalnych przyczyn brakuje, grywam, bo lubię i tak mi się podoba. Sześć razy (liczę starannie) przytrafiła mi się identyczna sytuacja, która wyglądała następująco:

Po jakimś tam czasie zabawy zrobiłam się przegrana, opamiętanie nastąpiło, możliwe, że nawet miałam pieniądze, ale postanowiłam nie tracić ich więcej, a możliwe, że mi ich całkiem zabrakło. Przede mną leżały ostatnie żetony w ilości sztuk sześć. Co niby można zrobić z sześcioma żetonami? A, niech je diabli wezmą, zgarnęłam wszystkie i postawiłam na samotne zero.

No i zero wyszło.

Ja zaś z tego interesu wyszłam wygrana. Ochłonąwszy bowiem po wstrząsie, część wypłaty wzięłam nie w żetonach do gry, tylko w żetonach pieniężnych, grubszych, za które też można grać, ale trzeba przedtem upaść na głowę. Te pieniężne zdecydowałam się zaoszczędzić i, acz kusiło, już ich nie tknęłam. Sama się sobie dziwię.

Taka niezwykłość spotkała mnie, jak już zostało powiedziane, sześć razy w życiu.

Stoły ruletki są także różne z punktu widzenia chodzących numerów, o ile tak dziwnie można powiedzieć. Na ludzki język przekładając, na jednych to zero wychodzi częściej, na innych rzadziej albo wcale, na jednych chodzą czwórki i siódemki, na innych piątki i dwójki, a zależy to prawdopodobnie od krupiera. Krupier puszcza kulkę ręką, sam zaś jest istotą ludzką. Ludzkie istoty różnią się od siebie. Każdy bierze inny zamach, puszcza mocniej lub słabiej i rozmaicie ta kulka leci. Możliwe jednak, że istnieją jakieś odmienne, dodatkowe przyczyny, dla których na jednym stole co parę gier

pojawia się takie, na przykład, 23, a na drugim tych dwudziestu trzech przez cały wieczór nie uświadczysz. Możliwe też, że któraś kulka lubi określone części koła.

Koło ma układ następujący:

O, 32, 15, 19, 4, 21, 2, 25, 17, 34, 6, 27, 13, 36, 11, 30, 8, 23, 10, 5, 24, 16, 33, l, 20, 14, 31, 9, 22, 18, 29, 7, 28, 12, 35, 3, 26.

Bywa, że rozmaicie puszczana kulka uparcie zatrzymuje się w tych samych rejonach, na przykład pomiędzy 17 a 11 i wtedy plącze się gęsto 27, albo pomiędzy 12 a 4 i wtedy mamy wielkie szansę na zero. Albo też wybiera sobie różne rejony koła w sposób fanaberyjny. W każdym razie rozmaite liczby lubią się powtarzać, tu takie, tam inne, a gracz może robić, co mu serce dyktuje. Nie rozum, rzecz jasna, rozum z hazardem nie ma nic wspólnego.

Mój rodzony syn grał kiedyś przez jeden wieczór na wszystkich stołach równocześnie, obstawiając po jednym żetonie wyłącznie szóstkę. I na żadnym stole ani razu mu ta szóstka nie wyszła. Światem liczb rządzą jakieś tajemnicze prawa.

Zważywszy grupowość gry w ruletkę, można ją wykorzystać na rozmaite sposoby.

Przy stołach, szczególnie tańszych, zazwyczaj panuje tłok. Wystarczą cztery osoby, żeby już sobie nawzajem przeszkadzały. W Marriotcie, i w ogóle we wszystkich naszych kasynach, egzystuje ruletka amerykańska, która tym się odznacza, że leci bardzo szybko. Jeśli nie pojawi się przerwa, wynikająca z wypłacania licznych wygranych, ledwo zdążymy obstawić swoje, o zastanawianiu się zaś w ogóle nie ma mowy. W dodatku gracze utrudniają sobie życie, bo ten co siedzi przy zerze* pcha się na 35, a ten przy trzydziestu pięciu kurczowo trzyma się dwójki. Krzyżują się nad stołem ręce i głowy, a krupier bez miłosierdzia ogłasza „koniec obstawiania!" Jest to rozrywka wysoce nerwowa i męcząca, w dodatku, przy wyższej frekwencji i zwiększonym tłoku, część społeczeństwa leży sobie wzajemnie na plecach i głowie, pcha łokieć w ucho, zrzuca okulary i niszczy fryzury. Okropność!

Za to pomyślmy, jakie wspaniałe szansę stwarza to podrywaniu!

Kasyno nie dla romansów zostało stworzone i nie seks tam wszyscy mają w głowie, ale zawsze może się przytrafić, że jedna jednostka drugiej wpadnie w oko. Dama to czy dżentelmen, ganc pomada, ówże tłok i sięganie numerów przez ludzkie głowy i plecy pozwala na kontakt fizyczny bezpośredni, co niekiedy znakomicie otwiera drogę uczuciom. Jeśli ktoś ma ochotę, proszę bardzo, osoba spragniona zawarcia lub zacieśnienia znajomości, przy ruletce napotyka warunki wręcz wymarzone, musi się tylko liczyć z tym, że, zyskawszy wzajemność, może stracić fart do gry.

Można przy niej także zdobywać doświadczenie ogólne.

Doświadczenie ogólne zaś wygląda następująco: Ma się akurat szczęście albo nie. Jeśli tak, zaczyna się od wygrywania. Co numer, to trafny i może to lecieć nawet bardzo długo. Fartownemu graczowi kupa żetonów coraz bardziej się zwiększa, coraz więcej dostaje w keszu, (dziwnie brzmi, ale tak jest. „W keszu poproszę" - wszyscy mówią) to znaczy w tych żetonach pieniężnych, przeważnie po milionie sztuka. (Starym milionie. Obecnie wartość żetonów keszowych doszła do pięciu tysięcy. Możliwe, że w chwili ukazania się tego utworu osiągnie dwadzieścia albo zgoła sto). Bogaci się jednostka, a zarazem rozbestwia, podnosi stawkę, szaleństwo z jednostki zaczyna tryskać, jeśli zdarzy jej się wyjątkowo nie trafić, w rozpędzie wali dalej i obstawia całą tablicę, bo co tam, tyle tego ma, że może sobie pozwalać ile chcąc.

No i ten rozpęd ją gubi. Dobra passa się kończy, czego rozbestwieniec nie zauważa. W przekonaniu, że to chwilowe, że dobra passa zaraz wróci, gra dalej ostro i w olśniewającym tempie traci wszystko, co wygrał. Po czym wyrywa z kieszeni następne...

Gorzej. Jeśli w takiej chwili zdecyduje się nagle jeden obrót kulki przeczekać, prawie w stu procentach jest pewne, że wyjdzie jego ulubiony numer, najwyżej przez cały czas obstawiany. Wówczas trafi go apopleksja.

A należało odejść w chwili pierwszej przegranej...

No dobrze, niech będzie, do trzech razy sztuka. Odejść po trzech przegranych.

Z dwojga złego już lepiej, jeśli zaczyna się od złej passy. Niedostatecznie jeszcze rozpłomieniony hazardzista, ponosząc pierwsze klęski, gra ostrożniej i taniej. Nie idzie mu i nie idzie. Zależnie od ilości przeznaczonych dla molocha pieniędzy powinien albo dać sobie spokój, zła chwila, nie-fartowny wieczór (czy też niefartowna noc, niefartowne południe, pora doby obojętna), zrezygnować z ulubionej rozrywki, albo też przetrzymać ten okres niefartu konsekwentnie. Ewentualnie zmienić stół i sprawdzić, co mu się przydarzy na innym.

Przetrzymywanie wypada najkosztowniej i może potrwać do uśmiechniętej śmierci, ale zawsze w końcu przychodzi chwila, kiedy zła passa się łamie i ten uparty zaczyna wygrywać. Może wygrać dużo, dlaczego nie, jeśli wywęszy nadejście dobrej passy i podniesie stawkę, zdoła odbić pierwsze straty i nawet wyjść do przodu, ale do tego trzeba mieć żelazne nerwy i psi węch. Zazwyczaj odbija trochę i na nowo popada w zapał, który może go zgubić.

Wszystko zależy od tego, czy zła passa jest zwykła, czy też jadowita. Na jadowitą jest tylko jeden sposób: przeczekać. Boże broń, nie przełamywać! Prędzej już sobie człowiek przełamie kręgosłup...

Zwykła zła passa natomiast żyje w zgodzie z dobrą i wymieniają

się wzajemnie. Zakładamy zatem te zwykłą, przegrana leci, nie zniechęcać się, przebić przez pokłady szaleństwa i wydłubać z siebie okruch myśli, pograć inaczej, na kornery może, na splity, zmienić stół, zmienić obstawiane numery, spróbować tych nie bardzo lubianych i lekceważonych, w każdym razie grać niedrogo. Upragniona chwila nadbiegnie. Jeśli wówczas wykorzysta się dobrą passę, zysk nam wyrośnie błyskawicznie, staniemy się wygrani i mamy szansę przy wygranej pozostać, ponieważ pierwsze trudne chwile już nas zdążyły zaniepokoić. Nie tak od razu ogarnie nas szaleństwo, niepowodzenie wierci się w pamięci niczym owsiki i nakazuje umiar, koniec dobrej passy umiemy już przewidzieć. Odbiwszy się i wyszedłszy na plus, zdołamy podnieść się od stołu i zrobić krótką przerwę.

Kliniczny przykład działania owej passy spadł na mnie osobiście w Krakowie, w hotelu Forum.

Kasyno spodobało mi się ogromnie. Odkryłam tam automaty owocowe, wyrzucone z Grandu, i ogarnęła mnie wręcz tkliwość. Umówiona byłam tak, że miałam ze dwie godziny czasu. Dopadłam automatu połowicznie owocowego, działającego na podobnej zasadzie, i zaczęło mi na nim iść. Znaczy, ruszyła szczęśliwa passa. Byłam już całkiem nieźle wygrana i najwyraźniej w świecie leciałam do góry, kiedy oderwały mnie od przyjemności umówione osoby. No dobrze, wzięłam pieniądze (przypominam uprzejmie, że w kasynach wygrywa się żywe pieniądze), poszłam sobie, odpracowałam co należy, w tym elegancką kolację, po czym w rozterce wróciłam do kasyna.

Rozterka polegała na kolizji wiedzy z namiętnością.

Przerwana szczęśliwa passa nie wraca nigdy. Wiedziałam o tym doskonale, ale miałam straszliwą ochotę grać na tym automacie dalej, podobał mi się, wmówiłam zatem sama w siebie, że pojawi się tu jakiś wyjątek albo cud. Cudu, niestety, nie było, wyszłam z tego interesu przegrana. A mogłam, nikt mi nie zabraniał, pograć sobie na czymś innym...

Na tym dowcip polega. Przerwać pod przymusem złą passę, sama radość. Przerwać dobrą...

Może lepiej idźmy spać, a do gry powrócimy jutro.

Osobę postronną, która przerywa nam dobrą passę, mamy prawo strzelić w szczękę. Każdy sąd powinien nas uniewinnić.

Chciwość gubi każdego i jest to reguła, od której nawet nie ma wyjątków.

Załamanie jest szkodliwe.

Jeśli upatrzyliśmy sobie jakiś ulubiony numer i obstawiamy go uporczywie i wysoko, on zaś z jeszcze większym uporem nie wychodzi, tylko spróbujmy się zniechęcić. Dajemy mu spokój albo zamiast ośmiu żetonów stawiamy jeden, czy nawet pół, i zanim się zdążymy obejrzeć, proszę! Już jest! I też nas wtedy szlag trafi.

Ostrzegam: jeśli będziemy się go trzymać konsekwentnie, może nie wyjść nawet przez tydzień.

Podstawą sukcesu jest natchnienie.

Rzecz jasna, musi to być natchnienie dobrego gatunku. Nie takie, które każe nam nagle kupować akcje stojące na ostatnich nogach, wsiadać do pierwszego autobusu, który nam wpadnie pod rękę i który jedzie w nie znane nam bliżej okolice, całkiem gdzie indziej, niż chcemy, zjeżdżać z obcej autostrady w nieodpowiednim miejscu, grać na konia, który przyjdzie ostatni, i tak dalej i dalej. Mamy tu na myśli prawdziwe natchnienie.

Prawdziwe natchnienie objawia się w jednym błysku. Wpada nam w oko coś, jeden numer, nie dość że wpada w oko, to jeszcze zagnieżdża się w duszy. Pomyśleć nie zdążymy, a zresztą nie warto. Na rozum nie wierzymy w ten numer, nie ma on żadnego sensu ani też powodu, żeby wyjść, nie podoba się nam, nie grywamy na niego. Nie szkodzi, natchnienie wie lepiej. Jeśli tego numeru nie obstawimy błyskawicznie i grubo, naplujemy sobie potem w brodę i na buty.

Natchnienie każe nagle obstawić trzydziestkę, jedenastkę, czy tam coś innego. Pchnąć całą kolumnę żetonów na czarne. Czekać do ostatniej chwili i to postawić, co nam błysnęło z koła.

Prawdziwe natchnienie działa rzadko, ale za to wygrywa się na nie najwięcej.

Także traci...

Ośli upór jest jeszcze bardziej szkodliwy niż załamanie.

Widać jak byk, że na tym stole chodzi siedemnastka i okolice, a w charakterze odmiany występuje 23. Choćbyśmy się skichali na śmierć, czegoś takiego jak zero, 20 albo 32 nie osiągniemy. Ośli upór każe nam obstawiać swoje i tracić fortunę i rzeczywiście tę fortunę stracimy, jeśli nie zdołamy się opanować.

Co innego konsekwencja, a co innego ośli upór.

Istnieje pogląd, jakoby wszystko w ruletce zależało od krupiera, taki numer rzuci, jaki zechce. Możliwe. Grałam, i to nieraz, przy stole, gdzie antypatyczny i agresywny bucefał, nie wciąż ten sam, cóż znowu, powiedzmy - kilku różnych bucefałow - zarzucało krupierowi lub też krupier-ce świadomą złośliwość i wyrzucanie numerów dla nich niewłaściwych, gwałtownie domagając się poprawy. Tacy byli przyjemni, że na miejscu owych krupierów dołożyłabym wszelkich wysiłków, żeby przypadkiem nic na ich numery nie padło i niewykluczone, że oni byli podobnego zdania.

Krupier jednakże to też człowiek, a nie komputer. Nie wierzę w jego idealne trafianie pożądanego numeru, w okolicy to jeszcze, niewątpliwie jakąś określoną część koła potrafią osiągać, ale nie dokładnie upatrzone miejsce, przy głupio skaczącej kulce. Palec się takiemu opśnie, najdrobniejsze wahanie, drgnięcie i już ta zaraza leci

gdzie indziej. Co nie przeszkadza, że przy dużej rutynie...

A diabli wiedzą, może tę zera sześć razy wyrzucili specjalnie dla mojej przyjemności? Żebym jeszcze miała za co trochę pograć? Nie ma przepisu, że wszyscy muszą mnie nie lubić!

Jednakże trzeba przyznać, że zdarzają się w tej ruletce zjawiska niepojęte. Jakiś czas temu „Twój Styl" postanowił zrobić reportaż z kasyna, posługując się przy tym autorką niniejszego. Autorka, jak widać, była w te klocki nieźle oblatana i bez trudu mogła symulować grę.

Symulować zaś należało, ponieważ zdjęcia można było robić tylko w chwilach przestoju kasyna, przed otwarciem, o świeżym poranku. Jeden krupier przyszedł wcześniej, obie z panią redaktor dostałyśmy dowolną ilość żetonów i kulka ruszyła.

Żywiłam głębokie przekonanie, że będziemy trafiać raz za razem, skoro nic nam z tego nie przyjdzie, tymczasem wręcz przeciwnie. Krupierowi, zważywszy pełen brak strat i zysków, było idealnie wszystko jedno i rzucał jak popadnie, my obie obstawiałyśmy przeszło pół tablicy, bo co nam szkodziło, a mimo to nie trafiłyśmy ani razu. Żadna z nas. Fotoreporter kotłował się długo, gra leciała ostro i nic. Ani cienia sukcesu!

Zdumiało mnie to niezmiernie. Jak wiadomo, można odgadnąć nawet sześć numerów toto-lotka, pod warunkiem, że się na nie wcale nie zagra. Jeśli gra jest symulowana, wygrana powinna być potężna, tak się bowiem objawia złośliwość losu, a tu chała denna. Co to mogło oznaczać?

Może po prostu ruletka jest całkowicie nieobliczalna...?

* * *

Ogólnie biorąc, emocje są męczące i sam nasz organizm niekiedy pragnie odpoczynku. Może mu go dostarczyć

BLACK-JACK

Black-jack...

Kto nigdy w życiu nie grał w oko?

Jednostki jakieś dziwne, może z tych rodzin, które w zaraniu zajęły się brydżem, co może je jako tako usprawiedliwić. Reszta dziwi mnie ogromnie.

Na czym black-jack, czyli 21, czyli oko, polega, wszyscy wiedzą. Tu bankier, tu my. Dostajemy kartę i natchnieniem wiedzeni (wydaje nam się, że rozumem, ale to złudzenie), deklarujemy stawkę. Bankier też dostaje kartę. Prosimy o następną, a celem naszym jest uzyskanie sumy punktów, zbliżonej do liczby 21.

Dwa to dwa, siedem to siedem, a każda figura oznacza dziesięć. Posiadamy zatem piątkę, szóstkę, razem jedenaście i strasznie chcemy dziesiątkę, damę, waleta, zdobędziemy te 21, tymczasem przychodzi czwórka. Mamy piętnaście. Rany boskie, co robić?! Zostać na tych

piętnastu? Idiotyzm, możemy liczyć tylko na furę u bankiera, przekroczone 21 oczywiście przegrywa, ale on sobie uzbiera bodaj 17 i jak wyglądamy? Jak pół tego... jak mu tam... no, pośladka... lufcikiem.

Zatem niech będzie, jeszcze jedną...

No i raz: przychodzi szóstka, mamy 21!

Dwa: przychodzi dziewiątka, możemy się wypchać.

Trzy: przychodzi dwójka i znów szarpie nami rozterka.

Osoby doświadczone, a przy tym bystre matematycznie, wyliczają sobie mniej więcej, co już przyszło z tych sześciu talii, małe czy duże, czego pi razy oko można się spodziewać, wedle tych prognoz żądają karty albo nie. Osoby roznamiętnione, których istnieje przygniatająca większość, postępują rozmaicie, zależnie od rodzaju szału, jaki je ogarnia.

W black-jacka grywam, kiedy chcę sobie jeszcze posiedzieć w kasynie wypoczynkowo. Uważana jestem przy tej grze za idiotkę szczytowej klasy i coś w rodzaju dopustu bożego.

Można w tym black-jacku stosować rozmaite modyfikacje, a także wygrać półwytrawnego szampana. Zważywszy, iż takiego szampana lubią niektórzy z moich przyjaciół...

Na szampana potrzebne są trzy siódemki. Za pierwszym razem, kiedy mi te trzy siódemki przyszły, byłam zdumiona i zaskoczona. Za drugim już dopuszczałam taką możliwość. Za trzecim, uzyskawszy dwie, powiedziałam bezczelnie i zuchwale:

- Poproszę trzecią.

I trzecia siódemka przyszła, co, między nami mówiąc, zdumiało mnie niezmiernie. Przy czwartej okazji zaczęłam to uważać za wydarzenie nagminne i naturalne, po czym życie wyprowadziło mnie z błędu.

Nie czepiam się szampana, szczególnie iż półwytrawnego nie znoszę.

Szczególną cechą black-jacka są poglądy graczy.

Istnieje przekonanie, że gracz przed, to znaczy biorący karty wcześniej, ma wpływ na ciąg dalszy. Pewna słuszność w tym jest. Weźmie taki jeszcze jedną kartę, zachapie waleta, a nam przyjdzie upragniona piątka. Zachapie, parszywiec, piątkę, a nam przypadnie idiotyczny walet, czyniący furę. Zabić kretyna! Nie dziwię się specjalnie dżentelmenowi, który mnie zelżył w owej rozgrywce o Rio de Janeiro, widocznie nie widział możliwości udania się tam samodzielnie, za fundusze własne.

Pogląd, jakoby umiejętność liczenia kart i pamiętania, co zeszło, miała dopomagać w grze, osobiście uważam za błędny z przyczyn następujących:

Po pierwsze, w tych sześciu taliach, którymi operuje krupier,

znajduje się wszystkiego po 24 sztuki. 24 asy, 24 dwójki, 24 ósemki i tak dalej. Jednostka przeciętna może ostatecznie, nawet w ferworze gry, upatrzeć sobie i zapamiętać te szampańskie siódemki, przy nich jeszcze i asy, niezbędne do premiowanej kombinacji, ostatecznie może nawet damy albo na przykład piątki, o ile ma do nich akurat stosunek osobisty, ale z całą resztą rychło się pogubi, szczególnie przy szybkiej grze. Bezskuteczne usiłowania zaś tylko jednostkę zdenerwują i zbiją z pantałyku.

Po drugie, nie cała pula kart bierze udział w grze, część ich zostaje w zasobniku, zwanym fachowo butem. Nawet gdybyśmy mieli w sobie komputer, lub też nadprzyrodzone zdolności, to też nie zgadniemy, co w tym bucie zostało. Załóżmy, że w ciągu wszystkich dotychczasowych rozdań zeszła tylko jedna dwójka, oczekujemy zatem pod koniec małych kart, bo, do licha, gdzieś te brakujące 23 dwójki muszą się plątać, tymczasem chała, przypadek sprawił, że tkwią w bucie. I już możemy się potężnie narwać.

Po trzecie, niech będzie, że liczymy jak szaleńcy, żaden komputer do pięt nam nie sięga, wszystko wiemy, nie pojawiły się jeszcze trzy walety, pięć asów, brakuje czterech piątek, trzech dziesiątek, trzech trójek... Dużo nam przyjdzie z tej wiedzy, skoro i tak pojęcia nie mamy, co tam właśnie do nas idzie, brakująca trójka czy brakujący walet. Czyli również do bani.

Z dwojga złego już lepiej grać na duszę.

Osobiście byłam świadkiem, a także ofiarą, układów następujących:

Miałam 17 punktów drobnymi, to znaczy dociągnęłam do tych siedemnastu samymi małymi kartami i zawahałam się. 17 jest to liczba bankiera, jeśli ma mniej, chociażby nawet 16, obowiązany jest ciągnąć dla siebie dalej, jeśli ma 17, musi przestać. 17 bankierowi wychodzi dość często, moje siedemnaście zatem w najlepszym wypadku da remis, chyba że bankier dostanie furę, za dużo, przekroczy 21. Z drugiej znów strony tych małych kart zeszło już kolejno chyba ze siedem, jeśli nie więcej, na logikę zatem powinna wreszcie pojawić się duża, która mnie dobije. Brać...? Nie brać...?

Zrezygnowałam. Następną kartą okazała się czwórka. Gdybym ją wzięła, miałabym 21. Źle o sobie pomyślałam, może nawet bardzo źle, i tę grę oczywiście przegrałam, bo krupier dostał 18.

I odwrotnie. Chociaż nie, prawie tak samo. Znów szły małe karty i znów spodziewałam się dużych, rozłożyłam dwa otrzymane asy na dwie gry z nadzieją, że do każdego przyjdzie mi jakaś figura albo chociaż ósemka czy dziewiątka. A skąd, przyszła dwójka i trójka. Rzecz jasna, też przegrałam.

„Odwrotnie" dotyczyło faceta obok mnie. „Same duże", pomamrotał pod nosem, „musi być mała!" Miał 15, poprosił o jeszcze

jedną i dostał dziesiątkę.

Na własne oczy widziałam sześć asów, idących pod rząd. Całe serie małych i dużych, oraz mieszaninę kompletną. Black-jacki jeden za drugim na tym samym polu, choćby człowiek nie wiem, co robił, otwierał sobie nowe pole, wycofywał się z jednego, ciągnął głupio albo nie ciągnął wcale. Nie było siły i cześć.

W żadne reguły nie wierzę.

Doświadczeni i rasowi gracze na ogół zatrzymują się na małej ilości punktów, bywa, że nawet na dwunastu, licząc na furę u bankiera. Muszę przyznać, że nawet na tym całkiem nieźle wychodzą.

Black-jack w gruncie rzeczy jest grą spokojną, można tu odpocząć po pośpiesznych emocjach, a do tego przegrywa się przy nim jednak w znacznie wolniejszym tempie. Podobno można także nawet wygrać, co stwierdziła jedna moja przyjaciółka, uwielbiająca oko od urodzenia. Wyszła z niego wygrana pięćdziesiąt tysięcy starych złotych, więc możliwe, że mówiła prawdę.

No owszem, widziałam kilku różnych, odchodzących od stołu black-jacka z dużymi pieniędzmi w ręku, uparcie jednak uważam to za fakt wyjątkowy, co bierze się z doświadczeń wczesnej młodości. Grywałam wówczas w oko zwyczajnie, między ludźmi, bo o istnieniu kasyn wiedziałam wyłącznie z lektur, gra miała charakter towarzyski, acz bywało, że mocno rozżarty, i bankierem zostawał każdy kolejno. Do zmiany dochodziło na „stuk", czyli potrójną wysokość puli, i bankier z reguły zgarniał najwięcej. Skoro zatem nie mogę być bankierem, wygrana wydaje mi się nader wątpliwa...

KASYNA JAKO TAKIE

Nie dam głowy, czy wszędzie, ale w takim na przykład Marriotcie osobny rozdział stanowią pożyczki.

Dzielą się na dwa rodzaje. Jedne mają charakter prywatny, drugie wręcz przeciwnie. Gracze znający się wzajemnie, co prawda głównie z twarzy, a niekiedy tylko z imienia, pożyczają jedni drugim bezinteresownie, z dobrego serca i pełnego zrozumienia. Mniej więcej wiadomo, kto tu bogaty, a kto biedny, ale nie jest to kryterium zasadnicze. Osoby mniej zainteresowane grą pożyczają, powiedzmy sobie wprost, profesjonalnie, na procent. Są to istoty dla prawdziwych hazardzistów bezcenne, służą ratunkiem w chwilach, kiedy przymusowa rezygnacja z dalszej gry mogłaby przyprawić delikwenta o wstrząs nieodwracalny, i bardzo możliwe, iż owe rzekome pijawki niejednego już uratowały od zguby zdrowotnej.

Finansowej raczej nie. Jak nie idzie, to nie idzie...

Dla porządnego hazardzisty jednakże zguba finansowa stanowi miętę z bublem i wszystko dla niej poświęci.

W obu rodzajach istnieje jedno zasadnicze prawo: oddawać w terminie.

Ktoś, kto pożyczył i nie oddał, może się pożegnać z nadzieją, że jeszcze kiedykolwiek od kogokolwiek cokolwiek uzyska. Jest skończony. Chyba że przyszedł we właściwej chwili, powiedział co trzeba i uzyskał prolongatę, tu bezinteresowną, tam oprocentowaną. Drugiego terminu jednakże musi dotrzymać bezwzględnie, inaczej przestaniemy z nim rozmawiać i będzie musiał żyć na własny rachunek.

Obejrzałam dość porządnie kasyna w następujących miejscowościach:

Warszawa, Kraków, Wrocław, Szczecin, Deauville, la Baule, Biarritz, St. Jean-de-Luz, Setę, Nicea, Monte Carlo, Mentona, Aix-en-Provence, Forges-les-Eaux, Enghien, Ba-den-Baden, Wiedeń.

Na kasyno w Cannes popatrzyłam wyłącznie z wierzchu, ponieważ trafiłam tam akurat na otwarcie festiwalu filmowego i o zaparkowaniu gdziekolwiek w ogóle nie było mowy.

Wszystkie owe kasyna wyglądają podobnie. Mają część jarmarczną i część salonową, przy czym do części jarmarcznej wchodzi się za darmo, salonowa zaś jest płatna. W jarmarcznej znajdują się automaty.

Stwierdziłam tam to samo zjawisko co i u nas, mianowicie największym powodzeniem cieszą się automaty pokerowe, z dżokerem, najtańsze. Te po dwa franki z reguły są oblężone, po pięć zajęte zwyczajnie, po dziesięć i po dwadzieścia czekają na klientów. Zważywszy, iż przy grze po dwa franki też można się spłukać doszczętnie, nie do pojęcia jest ślepota rozmaitych zarządów i dyrekcji, które nie widzą własnej korzyści i nie zwiększają ilości tych najbardziej upragnionych. W Nicei cały tłum siedział przy stoliczkach z boku, roziskrzonego wzroku nie odrywając od pleców szczęśliwych graczy po dwa złote. Pardon, chciałam powiedzieć, franki.

Ogólnie biorąc jednakże tych automatów stoi tam zatrzęsienie, bez porównania więcej niż u nas, i wszędzie znajdują się zespoły, komasujące wygraną, tak jak te nasze z jajkami. Powodzeniem dorównują prawie pokerowym, czemu trudno się dziwić, skoro nad głowami graczy leci kusząca suma pół miliona franków, albo nawet lepiej.

Część salonowa wygląda zupełnie od naszej odmiennie.

Z reguły zajmuje całe piętro, składa się z licznych komnat rozmiaru nawy kościelnej, wystrój posiada wielce nobliwy, otwierana bywa później i we wczesnych godzinach wieczornych robi dosyć głupie wrażenie. Czynne są dwa, najwyżej trzy stoły ruletki, reszta zieje pustką i martwotą, do tych dwóch stołów zaś nie można się docisnąć. Oblężone przez graczy. Dlaczego, widząc tłok, nie uruchomią większej ilości stołów, Bóg raczy wiedzieć.

Za to mają grabki krupierskie do publicznego użytku. Są to długie

drągi z poprzeczką na końcu i każdy może swoje żetony własną ręką popchnąć w dal. Może je także podrzucać krupierowi, wykrzykując swoje życzenia i praktykuje się tę metodę znacznie częściej niż u nas, zapewne z racji tłoku. Krupierzy operują grabkami z cyrkową wręcz zręcznością, ale i zwykły człowiek zdoła się nimi posłużyć.

Same żetony natomiast, to czysta rozpacz. Wszystkie w jednym kolorze! Mam na myśli żetony jednej wartości, powiedzmy po dziesięć franków, wszystkie granatowe i cześć. Żetony innych wartości są już żółte lub czerwone, te tańsze jednakże, którymi gra najwięcej osób, prawie się od siebie nie różnią i nieszczęsna ofiara, obstawiwszy pole, sama nie wie, na co gra, bo w ferworze zapomni, a rzut oka nic jej nie da. No owszem, jakieś tam minimalne różnice istnieją, ale tak nieznaczne, że tylko wprawne oko krupiera może je dostrzec. Gracz natomiast, myląc siebie z innymi, albo obstawia podwójnie, albo wcale, bo na tej upragnionej ósemce jakiś żeton już leży i on myśli, że jego. A tu chała, nie jego, tylko tego z przeciwka. Nic dziwnego, że rozmaite chciwe i perfidne staruszki zagarniały podstępnie cudzą wygraną.

Z wyjątkiem kasyna w Enghien. Tam żetony jednej wartości są różnokolorowe, identycznie jak u nas. Przegrałam brązowymi.

Większość kasyn serwuje darmowe drinki, delikatne, piwo i wino. Koniaku, whisky i szampana nie próbowałam, więc nie jestem pewna. Tylko Enghien dokłada szampana do biletu wstępu. Wytrawnego na szczęście.

Mam na myśli, że nie próbowałam pić wymienionych trunków w europejskich kasynach. Gdzie indziej mi się zdarzało.

Ponadto nic tam nie gra. Jeśli nawet rozlegają się jakieś zbędne dźwięki, ja ich nie słyszałam, a na hałas uparcie jestem uczulona. I tu pozwolę sobie na dygresję, dokumentującą zjawisko.

Ostatnio weszłam do Grandu, do owej ekskluzywnej salki i potężny ryk muzyki rąbanej ogłuszył mnie już w progu. Gestem, bo słów nie było słychać, poprosiłam o przyciszenie tego czegoś, co grzmiało nie tylko w uszach, ale także w żebrach, w obu półkulach mózgowych bez pośrednictwa słuchu, w trzustce, w kolanach, a może nawet w piętach. Przyciszono bardzo uprzejmie i natychmiast, z gwałtownym protestem, poderwał się z kąta młodzieniec, siedzący przy automacie i napawający się owym rykiem zapewne w upojeniu.

Grzecznie spytałam, czy tak intensywny podkład akustyczny jest mu niezbędny, bo jeśli tak, ja natychmiast wyjdę. Ostatecznie, on był pierwszy. Istnieje między nami znaczna różnica wieku i stąd odmienny stosunek do odgłosów, ja tego z pewnością nie wytrzymam, nie wiem, jak on zniesie odrobinę ciszy. Okazało się, że bezboleśnie, pozostaliśmy zatem w zgodzie i w tym samym pomieszczeniu.

Dziki ryk przeszkadza właściwie wszystkim osobom w wieku

powyżej młodzieńczego, grającym w skupieniu. Tylko młodzież prezentuje skłonności odwrotne i daje się to zauważyć także w samochodach. Jedzie taki ostro, a grzmot zwany muzycznym wali w przestrzeń wokół niego, od czego padają ptaszki w locie i lecą liście z drzewa. Decybele są szkodliwe, kto zaręczy, że nie ma to wpływu na katastrofy...?

Już wracam do tematu.

Cechą absolutnie wspólną wszystkich kasyn jest pełna niemożność zaparkowania w pobliżu.

Wyłamały się z tego tylko dwie miejscowości, Deauville i la Baule. W Deauville po prostu jeszcze nie nastał sezon, a dzień był powszedni i parkować dawało się w całym mieście, całkiem tak samo jak w Warszawie pod bankami w niedzielne popołudnie, la Baule zaś dysponuje środkiem nadmorskiego bulwaru o rozmiarach potężnej autostrady. Oba kierunki ruchu przedzielono szerokim pasem świętego spokoju, na którym można sobie stawać w dowolną stronę i ruszać później również w dowolnym kierunku.

W dwóch innych zaś, w Setę i w Forges-les-Eaux, kwitnie pełna Europa, zostawia się samochód z kluczykami w stacyjce, oraz dziesięć franków, i już można oddać się rozpuście, nie zajmując pojazdem. Parkuje służba kasynowa, która podstawia go później wychodzącej osobie.

Forges-les-Eaux jest to w ogóle kasyno paryskie. Istnieje przepis, że najbliższe kasyno może się znajdować w odległości co najmniej stu jeden kilometrów od Paryża, bliżej tak bogobojne i cnotliwe miasto równie gorszącej instytucji nie ma prawa posiadać. Prosperuje ona zatem w Forges-les-Eaux, w odległości dokładnie kilometrów 111. I w obliczu tego przepisu niepojęte wydaje się istnienie kasyna w Enghien, która to miejscowość stanowi prawie przedmieście Paryża, znajduje się nie dalej niż stare lotnisko Le Bourget. Może po prostu wystarczy, że nie nazywa się „paryskie"...?

Najgorzej pod względem parkowania prezentuje się Monte Carlo.

Monte Carlo rozczarowało mnie okropnie i chyba opiszę swoje przeżycia tamże, aczkolwiek z czystym hazardem niewiele mają wspólnego. W każdym razie zgubiłam tam samochód. No nie, nie na zawsze.

Pałac jak pałac, owszem, istnieje, prawie taki jak na filmach. Niemniej jednak na żadnym filmie dotychczas nie pokazano dzikiego piekła na ziemi, jakie się przed tym pałacem rozgrywa. No dobrze, zgadzam się, że nastąpiło utrudnienie, mianowicie lał deszcz, a w deszczu wszyscy głupieją, kierowcy szczególnie. Ale służba kasynowa była na piechotę...

Miejsce na parking to był mit i legenda. Kotłowanina samochodowa prawie jak na Place de 1'Etoile w godzinach szczytu, l

od nikogo za skarby świata nie można się dowiedzieć, dokąd jechać i gdzie się zatrzymać, każdy taki nagabnięty z obsługi odwraca się tyłem i ucieka, machając rękami do kogoś innego, sytuacja beznadziejna. Zdenerwowałam się wreszcie, zatrzymałam się na środku jezdni i postanowiłam nie drgnąć tak długo, aż ktoś przyleci, żeby mnie stąd wyrzucić.

Presja okazała się słuszna i rozsądna, dwie minuty nie minęły i już rzucił się na mnie taki w mundurku. Palcem pokazał, gdzie jest parking kasynowy, podziemny, o, tam, na prawo i na lewo! No dobrze, pojechałam tam, wjechałam w podziemia.

Bardzo długo jeździłam w kółko, nie zdając sobie sprawy, że zjeżdżam w dół, tak małe było nachylenie. Pojawiły się w końcu wolne miejsca i zgadłam, że jestem na jakimś niższym poziomie, ale dopiero w windzie pomyślałam, żeby sprawdzić, które to piętro. Okazało się, że czwarte. W porządku, niech będzie czwarte.

Wyszłam z tej windy bezpośrednio na świat.

Znalazłam się wśród nader licznych pagórków, klombów, kwiecia i wodotrysków. Pałac kasynowy razem z tą całą kołomyją przed nim ujrzałam w dole, w odległości bez mała pół kilometra. Deszcz lał. Parasolkę zostawiłam w hotelu w Nicei. Na wszelki wypadek ubrałam się wytwornie i na nogach miałam najwyższe obcasy ze wszystkich posiadanych w dorobku. A droga wiodła dość stromo.

Rozejrzałam się wokół, żeby później rozpoznać miejsce, i stwierdziłam, że można by schodzić pod daszkiem, ale pod tym daszkiem ułożone były idealnie gładkie płyty marmurowe, równie strome jak wszystkie pozostałe alejki. Wyobraziłam sobie, co będzie, jak moje fleki zetkną się z tym śliskim marmurem, i uznałam, że z dwojga złego wolę deszcz niż gwałtowny zjazd na odwłoku, a i po tym porowatym asfalcie też schodziłam jak pokraka. Nie przyszło mi do głowy, żeby zdjąć buty. Zeszłam wreszcie. Zmokłam całkiem przyzwoicie.

W holu kasyna i w przedsionku do sali automatów siedziały dwie wycieczki Japończyków. Dalej, wewnątrz sali, kłębił się tłum, nie wiadomo dlaczego kojarzący mi się silnie z odpustem w Kazimierzu. Pooglądałam co trzeba, pograłam trochę na automacie po 5 franków, bo do tańszych stała kolejka, i udałam się na górę.

I tam, w tych osławionych salonach, panowała atmosfera jak w grobowcu. Drętwo, martwo, acz wcale nie pusto, jakiś ponury, milczący tłum, zbity w ciasne kupy przy nielicznych otwartych stołach ruletki. Krupierzy mieli wyraz twarzy pełen nagany i potępienia, może i słusznie, w końcu było to miejsce rozpusty...

Zagrać w ogóle się nie dało. To znaczy owszem, przy wejściu dostaje się jeden żeton dla zachęty, coś z tym żetonem musiałam zrobić, postawiłam na byle co rękami krupiera, bo własnymi nie

miałam szans, to coś nie przyszło i cześć. Z rozpaczy usiadłam przy barze i piłam wino, posępnie kontemplując architekturę.

I pomyśleć, że lata całe człowiek wyobrażał sobie kasyno w Monte Carlo jako miejsce rozrywkowe, podniecające i wesołe...!

Wytworny strój był mi potrzebny jak dziura w moście. Mogłam przyjść boso i w klapkach, a może nawet w dżinsach, których, na szczęście, w ogóle nie posiadam. O żadnych kelnerach, biegających wśród gości z drinkami, mowy nie ma, gorzej, nie wolno zbliżać się nawet do stołu z napojem w ręku. Obsługi tyle co kot napłakał i nikt szczęśliwym graczom nie wymienia żetonów z powrotem na pieniądze, niech sobie sami latają do kasy...

Porzuciłam ten cały pałac i udałam się obok, do nowego kasyna, niedawno otwartego.

No i to wreszcie było COŚ. Hala automatów o rozmiarach, na moje oko, dwóch hektarów, jeśli nie lepiej. Wybór wstrząsający! Ostatnie słowo elektroniki, automaty już nawet nie prztykane, a dotykane, automaty, na których można wybrać sobie dowolną z sześciu gier! Tam dopiero panowało życie rozszalałe! Na dobrą sprawę można by tam spędzić miesiąc i jeszcze wszystkiego nie wypróbować.

Z dumą patriotyczną komunikuję, że jeden taki szczytowy automat, ostatni krzyk, zainstalowano w Grandzie. Dotykany i gry do wyboru. Stawka wynosi 25 groszy.

Potrwało to wszystko trochę, a tą wysoce malowniczą, nadmorską drogą wolałam wracać do Nicei za dnia, a nie po nocy. Wyszłam zatem i rozpoczęłam poszukiwanie samochodu.

Do pagórków trafiłam bez problemu, były widoczne z daleka. Po czym okazało się, że cześć pieśni, pojęcia nie mam co dalej, same klomby w obmurowaniach, same wodotryski, wszystkie jednakowe, a wejścia nigdzie. Żadnego znaku, żadnej informacji. Deszcz już tylko mżył, a chwilami całkiem ustawał i wychylało się zachodzące słoneczko, obeszłam zatem te wdzięczne tereny dość dokładnie. Na litość boską, wyjechałam przecież windą na samą górę, gdzieś ta winda powinna się znajdować, sterczeć ponad gruntem, w ziemię się chyba nie zapadła?! Nie ma jej, nic nie sterczy, poza roślinnością, no i fontanny, owszem, biją w górę, ale razem z fontanną przecież nie wyszłam...? Zauważyłabym, mimo deszczu... Gdzie, u diabła, może być wejście...?!

Najpierw postanowiłam wrócić na dół i wejść tak, jak wjechałam, drogą samochodową. Potem przypomniało mi się moje jeżdżenie w kółko i zmieniłam zdanie. Postanowiłam dopaść jakiegoś z obsługi i zażądać, żeby odnalazł mój samochód, skoro sami mnie do tego garażu skierowali. Już ruszyłam ku dołowi, kiedy wreszcie na tym bezludziu pojawił się jakiś facet. Dopadłam go natychmiast, rozpaczliwie pytając, jak, do pioruna ciężkiego, wchodzi się na

parking?!

- A o, tam, za klombem z kwiatami - odparł z miłym uśmiechem.

W dramatycznych chwilach życiowych znam doskonale wszystkie języki świata.

- O nie, kochany - rzekłam stanowczo. - Ja za tym klombem już byłam. Parę razy. Za innymi klombami też. Tam nic nie ma. Pan mi to musi pokazać!

Moje życzenie rozweseliło go wyraźnie, wziął mnie za rękę i doprowadził. Chryste Panie! Schody ruchome w dół,

niczym nie oznaczone, w tych kwiatach i kaskadach kompletnie niewidoczne, w dodatku milczące, bo ruszały na fotokomórkę! Mogłam ich szukać do sądnego dnia.

Zjechałam nimi kawałek, jedno piętro, windę znalazłam po długiej chwili, niepewna, czy jest to winda właściwa, przypomniałam sobie, że stoję na czwartym poziomie, i wreszcie ujrzałam własny samochód. Tyle że z tego wszystkiego wyjechałam nim pod włos, wjazdem, a nie wyjazdem, sprzecznie z jednym kierunkiem ruchu. Na górze stał gliniarz, który, o dziwo, nie zrobił mi nic złego, kiwał tylko głową z wyraźnym politowaniem.

Gdzie natomiast znajduje się ta winda, którą wcześniej wyjechałam na świeże powietrze, do tej pory nie mam pojęcia.

Obawiam się, że nie pokochałam Monte Carlo.

W Aix-en-Provence trafiłam na trente et ąuarante i powiało mi fin de siècle'em.

Bardzo śmieszna gra. Ogólnie polega na tym, że krupier rozkłada karty w dwóch rzędach i wygrywa ten kolor, w którym suma punktów (wartości kart, liczonych tak samo jak w black-jacku) mieści się w granicach pomiędzy 30 a 40 i najbardziej jest do tych trzydziestu zbliżona. Ponadto można zgadywać, będzie kolor czy go wcale nie będzie, a zależy to od pierwszej karty wygrywającego rzędu, czerwona ona czy czarna, pasuje do wygrywającego koloru czy nie. Niby skomplikowane, a w gruncie rzeczy proste, debil może w to grać, zgadując na chybił-trafił.

Zważywszy, iż grałam w trente et ąuarante po raz pierwszy w życiu, rzecz oczywista wygrałam, i to całkiem nieźle, bo z emocji zapomniałam rozmienić stufrankowe żetony na drobniejsze i grałam tymi stufrankowymi. Poniechałam gry, wygrana, kiedy siła wyższa dała mi wyraźny znak.

Mianowicie wtrąciła się dusza, mówiąca z naciskiem, że teraz będzie czarne, będzie czarne, będzie czarne, grać, postawić podwójnie, poczwórnie, grać, do diabła, będzie czarne!!! No i cześć, jak w tylu już wypadkach, sparaliżowało mi rękę, stałam jak ten pień, czekając na wynik, nie zagrałam wcale i oczywiście, jasna sprawa, przyszło czarne. Wtedy pojęłam, że nastąpił koniec fartu, szczęśliwa passa pękła i nie

mam co się dalej wygłupiać. Poszłam sobie zatem gdzie indziej.

Najklasyczniejsze kasyno pozostało w Baden-Baden.

Tu nie ma żadnych automatów, wyłącznie salony ruletki, black-jacka, pokera i tym podobne. Atmosfera pełna godności, a jednak żywa i jakieś takie to wszystko pogodne i frywolnie eleganckie. Do ruletki można się nie tylko dopchać, ale nawet użebrać żetony różniące się od innych bodaj krawędziami, na przykład w białe ząbki. Zapewne dzięki tym białym ząbkom wygrałam, bo udawało mi się dostrzegać, co obstawiam, a czego nie, w przeciwieństwie do wszystkich innych kasyn przedtem.

Natomiast wytwornie przyodziane kobiety po raz pierwszy ujrzałam w Wiedniu, na końcu tego całego niemoralnego przeglądu. Nie, diamentów, szynszyli i balowych sukien nie było, ale jednak przytrafiały się stroje wyraźnie wieczorowe, żadnych adidasów, bosych nóg ani dżinsów, za to rozmigotane gorsy, lakierki na obcasach, eleganckie kostiumy i wymyślne fryzury. Muszę wyznać, że przyjemnie było popatrzeć.

Z tej to przyczyny nazajutrz ubrałam się wystrzałowo, znów w te najwyższe obcasy, zamierzając ponownie zwizytować kasyno, tyle że przedtem zboczyłam penetrować Pra-ter. No i na tym Praterze zostałam do końca, ponieważ oczywiście padał deszcz, do automatów trafiłam dopiero

po długim czasie, trasę za sobą miałam godną podziwu a automaty znajdowały się pod dachem. Deszcz im nie przeszkadzał. Wino i piwo dawali. W ten sposób największego szyku zadałam w wesołym miasteczku, gdzie każdy może się pojawić w firance z okna, narzucie z tapczanu i gumiakach.

A komuś się może wydaje, że zbieranie materiałów do książki to taka prosta i łatwa sprawa? A oberwanie chmury w prowansalskich górach...? A roboty drogowe w całej Europie...? A prawe przednie koło w St.Jean-de-Luz...? A lokalny Tour de France i zamknięty wyjazd na Niort z La Roche--sur-Yon...? I tym podobne i tak dalej...

Nic nic, dajmy spokój. Może to i hazard, ale innego rodzaju.

Skoro już jesteśmy przy strojach, należy zauważyć kobiety.

Z całą stanowczością stwierdzam, że znacznie więcej kobiet bywa w kasynach w Europie niż u nas. Specjalnie liczyłam. Przy jednym stole ruletki dwóch facetów i sześć bab, przy drugim siedem kobiet i trzech chłopów, inna rzecz, że w tych siedmiu trzy stanowiły jedną, bo grały razem trzy przyjaciółki. Wszędzie co najmniej połowa, nie wspominając o halach automatów, gdzie stanowiły większość. Część w parze z mężczyzną, a część samotnych, rozżartych i bardzo zadowolonych z życia.

Z mężczyzną bywać w kasynie nie radzę, chyba że stanowi rzetelną bazę materialną i charakter ma niezdolny do oporu. Inaczej

ujrzeć można widoki zgrozę i żałość budzące.

Przywlecze taka nieszczęsna do miejsca rozpusty swoje źródło finansów, źródło głupie i grać nie lubi, nią zaś szarpie namiętność. Żebrze o bodaj trochę, facet niechętnie i z oporem wydziela jej jakąś sumę, sumę dziewczyna, rzecz jasna, przegrywa w mgnieniu oka, żebrze o jeszcze trochę... Rozgrywają się sceny równie intymne, jak niesmaczne, reminiscencje umykają już oczom graczy, bo następują gdzie indziej i kiedy indziej, ale doskonale można je sobie wyobrazić. Dziewczynom zaś można wyłącznie współczuć.

Niewykluczone, iż owym facetom również należałoby współczuć...

Znacznie milszy widok stanowi kobieta samotna i samodzielna, która gra za swoje, wie, co robi, wie, czego chce, dreszcz szczęścia lata jej po plecach i może się najwyżej zawahać: poświęcić to zaplanowane futro czy nie. Nawet jeśli poświęci, nikt jej nie będzie truł.

Na marginesie:

Jednego gracza przestali wpuszczać do kasyna w Mar-riotcie, ponieważ przyleciała z protestem zapłakana żona, twierdząc, że wyniósł już z domu ostatnią patelnię, ostatnie krzesło i nawet wanienkę do kąpania dziecka. Z litości zabroniono mu wstępu, ale tak po cichutku, między nami mówiąc, powątpiewam, czy to małżeństwo się utrzymało.

A mówiłam, że mężczyźni nie mają żadnego opamiętania!

Za to nie przypominam sobie ani jednego wypadku, żeby do kasyna przyleciał zapłakany mąż i domagał się niewpuszczania jego żony...

Kolejną cechą wspólną kasyn europejskich jest większa niż u nas możliwość tracenia pieniędzy. Żetony można brać na karty kredytowe i absolutnie wszędzie, oraz bardzo sprawnie, (w przeciwieństwie do naszych) działają bankomaty.

No i wszędzie istnieje rejestracja graczy. Płatny wstęp i wprowadzenie gościa do komputera. Za pierwszym razem trzeba mieć przy sobie dokument tożsamości, później już wystarczy poprzedni bilet wstępu albo samo podanie nazwiska. Niektórzy, cierpiąc głęboko, tylko dlatego nie bywają w kasynach, że musieliby się ujawnić.

Co do innych gier, poker w kasynie jest mało interesujący. Dostaje się karty i cześć, nie można ich wymieniać. O przebijaniu mowy nie ma. W rachubę wchodzi wyłącznie konkurencja gracz-bankier, kto ma więcej, ten wygrywa, i emocji wielkich człowiek się nie doczeka. Co gorsza, nawet ewidentna wygrana nie jest pewna, bo jeśli bankier nie ma otwarcia, graczowi układ przepada, choćby dostał tego pokera z ręki.

W takim wypadku może mu grozić co najmniej apopleksja.

No, chyba że obstawi dodatkowo specjalne ubezpieczenie, co mu

pozwoli, w razie pecha, więcej przegrać. Nie jest wykluczone, że czasem także wygrać...

Jest to tak zwany poker karaibski, do bani. Nie cieszy się zbyt wielkim powodzeniem i ani razu nie widziałam przy nim tłoku. Mam wrażenie, że w niektórych kasynach istnieją zakamarki do gry w normalnego pokera, rzekłabym towarzyskiego, gracze pomiędzy sobą z krupierem tylko rozdającym, tak mi czymś takim zaleciało, ale samej gry na własne oczy nie widziałam, więc nie będę się upierać.

No oczywiście, że istnieje także koło szczęścia, które działa na przykład w Marriotcie od czasu do czasu. Jest to śmiesznostka jarmarczno-odpustowo-rozweselająca. Osobiście wygrałam na tym strój, którego z przyjemnością używam, mianowicie bluzkę z napisem na plecach „Casinos Poland" i coś tam jeszcze, oraz ogromną ilość letnich czapeczek. Czatowałam na karty, dwie talie, razem z notesem brydżowym. Między nami mówiąc, znacznie taniej mogłam je kupić w sklepie, ale to nie to samo, na kole szczęścia wygrać przyjemniej.

Ponadto we wszystkich sprawdzanych przeze mnie kasynach europejskich wśród sali do gry plączą się licznie sale restauracyjne i kawiarniane i jedną ręką można stawiać, a drugą pchać do gęby pożywienie. Zdaje się, że gdzieniegdzie można nawet tańczyć, ale to już zupełnie inna strona medalu.

Odrębnym gatunkiem kasyna są salony, gdzie szaleje

BINGO

Grać w bingo potrafi nawet debil, jest to bowiem zwyczajna loteryjka. Nabywa się karty z numerami i rozmaite numery są wyczytywane, jeśli te wyczytywane pokrywają się z numerami na kartach, należy je sobie zakreślać. Wygrywa się, jeśli zostanie zakreślony cały jeden poziomy rząd, ale jest to wygrana niewielka, sukces, czyli bingo, wymaga zakreślenia całej karty. Należy przy tym gromko wrzeszczeć, bo kto pierwszy, ten lepszy, a nieogłoszenie wygranej we właściwej chwili może spowodować jej utratę.

Bankructwem bingo nie grozi z bardzo prostego powodu. Ilość kart, jaką gracz sobie nabywa na jedną grę, z konieczności musi być ograniczona, bez względu na ich cenę, gra bowiem toczy się szybko. Nieszczęsny hazardzista, choćby nawet miał oczy dookoła głowy, nie zdoła w takim tempie sprawdzić i zakreślić numerów na kartach, na przykład, dziesięciu, trzy to góra. Jeśli coś przeoczy, przegrywa.

Wpływu na swoją wygraną nie ma żadnego, podobnie jak w toto-lotku. Jest to gra czysto liczbowa. Szansę w niej mają tylko ci, którzy ogólnie cieszą się szczęściem do liczb i w toto-lotka wygrywają również, w mniejszym pośpiechu. Wysokość wygranej, również jak w toto-lotku, zależy od sumy, jaka wpływa na jedną grę, a jeśli w jakiejś grze bingo

nie padnie, owa suma przechodzi na grę następną i w ten sposób

może osiągnąć rozmiary kosmiczne.

Warszawski salon bingo tym się niegdyś odznaczał, że przeważnie nie można było do niego się dostać. Pomieszczenie, acz obszerne, jest jednak ograniczone, gracze siedzą przy stolikach, zazwyczaj wszystkie miejsca były zajęte, pod drzwiami zaś stał ogon amatorów, zionący niecierpliwością. Zważywszy, iż nie znoszę tłoku, z tego gatunku rozrywki nie wyniosłam doświadczeń osobistych, znam jednak osobę, która trafiła w bingo półtora miliona starych złotych w czasach, kiedy za jeden milion można było kupić mieszkanie. Karta do gry kosztowała wówczas złotych dziesięć.

Obecnie nastąpiły zmiany, które całkowicie niweczą optymistyczne słowa o bankructwie, nieco wyżej niepotrzebnie napisane. Karty do gry kosztują złotówkę, dwa złote i pięć. Każdy może nabyć dowolną ich ilość i sprawdzać numery na komputerach, które odwalają tę robotę znacznie szybciej niż człowiek. Komputerów stoi tam kilkanaście. Kto chce, niech sobie obliczy, ile zdoła przegrać rozżarty pechowiec, nabywający przy każdej grze na przykład czterdzieści kart po pięć złotych. A gier leci mniej więcej dziesięć na godzinę...

Przymusu, rzecz jasna, nie ma. Równie dobrze jednostka umiarkowana może grać po jednej karcie za złotówkę i tym sposobem przez dziesięć godzin przegra zaledwie sześćdziesiąt złotych. W obliczu możliwości, jakie stwarza ruletka, taka przegrana to wręcz sama przyjemność.

Wygrać owa jednostka może również, dlaczego nie...?

Jednostki z upodobaniem do hazardu, obawiające się przy tym śmiertelnie kasyn wszelkich, mają jeszcze jedną niewinną szansę zaspokojenia namiętności na gruncie zazwyczaj prywatnym, bo publicznie jakoś się w to nie grywa. Są to mianowicie:

KOŚCI

W bardzo młodych, wręcz przedszkolnych czasach, czytając lub słysząc o grze w kości, żywiłam głębokie przekonanie, iż służą do niej prawdziwe piszczele, żebra oraz inne fragmenty szkieletu (z pominięciem czaszek, które wydawały mi się za duże) i nie bardzo umiałam sobie wyobrazić, jak też się tym gra. Kostki do gry, jako takie, znałam, ponieważ grało się nimi w rodzinie na przykład w chińczyka, ale nie miałam właściwych skojarzeń. Dopiero później, zapewne w czasach szkolnych, pojęłam, jak narzędzie rozpusty wygląda i na czym zabawa polega.

Otóż zasadnicza, niejako podstawowa, towarzyska gra w kości opiera się na pokerze i wymaga powyrzucania wszystkich możliwych pokerowych kombinacji. Istnieje cała tabela zapisu, rzekłabym kościanego, bo nie wiadomo, jak inaczej to nazwać. „Kościstego"

brzmi jeszcze gorzej, zostańmy zatem przy kościanym. Może w to grać dowolna ilość osób.

Kości musi być sztuk pięć. Jak kart. Każdy kolejno ma prawo do trzech rzutów. Musi wyrzucić:

Parę - na dwóch kościach (z tych pięciu) dwie jednakowe liczby, obojętne co, dwie dwójki, dwie jedynki, dwie szóstki...

, Dwie pary - też obojętne jakie, dwie trójki i dwie czwórki, dwie piątki i dwie szóstki. Zważywszy, iż liczy się punkty, piątki i szóstki najlepsze...

Trójkę - trzy jednakowe liczby i ciągle najlepsze byłyby szóstki...

Małego strita - jedynkę, dwójkę, trójkę, czwórkę i piątkę.

Dużego strita - też w kolejności, ale wyżej. Dwójkę, trójkę, czwórkę, piątkę i szóstkę.

Fula - dwie jednakowe i trzy jednakowe. Na przykład dwie czwórki i trzy piątki. Dwie jedynki i trzy szóstki. Trzy jedynki i dwie dwójki, od czego łza się w oku kręci, bo już nic mniejszego być nie może.

Karetę - cztery jednakowe i jasne jest, że każdy się pcha do tych szóstek.

Pokera, czyli piątkę - jak sama nazwa wskazuje, pięć jednakowych.

Gra kończy się, kiedy pierwsza osoba wyrzuci wszystkie kombinacje, wygrywa zaś ten, kto zdobędzie najwięcej punktów. Liczy się owe punkty dość prosto, tyle ich jest mianowicie, ile wynoszą liczby na kościach. Para złożona z dwóch piątek daje 10. Trójka z trzech czwórek jest to 12, wystarczy pomnożyć. Ful, na przykład, dwie trójki i trzy szóstki, dwie trójki to 6, trzy szóstki 18, razem 24. Mały strit zawsze wynosi 15, duży 20, kto chce sprawdzić, niech sobie doda.

Urozmaicenie w liczeniu polega na tym, że przy większym szczęściu dostaje się specjalne premie. Każdy ma prawo do trzech rzutów, jeśli wyrzuci jakąś kombinację już pierwszym rzutem, z ręki, liczy się ją drożej. Z wyjątkiem jednej pary, jedna para zawsze jest liczona pojedynczo, dwie czwórki to osiem i nie ma gadania. Dwie pary uzyskane z ręki liczy się podwójnie, wszystko inne zaś nawet potrójnie.

Są to poniekąd zasady gry podstawowej. Można ją zmodyfikować dowolnie i osobiście takich modyfikacji rekomenduję dwie.

Pierwsza:

Łagodniejsza, bardziej towarzyska, ale też do zgrzytu zębów z łatwością może doprowadzić.

Zacznijmy od płotów.

Zważywszy, iż każdy ma prawo do trzech rzutów, jeśli wyrzuci upragnioną kombinację już rzutem pierwszym, dwa pozostają mu jeszcze w zapasie, nie wykorzystane. Zapisuje mu się je w postaci

dwóch kresek, które z niewiadomej przyczyny noszą nazwę płotów. Może je zużyć, kiedy zechce. Wyrzucił, na przykład, trzy piątki, zyskał trójkę, czyli trzy jednakowe, i zostały mu dwa płoty, czyli dwa rzuty zaoszczędzone. Przy następnej kolejce wyrzuca dwie szóstki, ma parę i znów dwa rzuty zaoszczędzone, razem cztery. Jeśli chce, kolejnym razem może rzucać siedmiokrotnie, trzy rzuty prawnie mu przynależne i cztery zaoszczędzone, a może także wstrzymać się ze zużywaniem owych oszczędności aż do chwili, kiedy przychodzą najtrudniejsze kombinacje, piątka albo fule, czasem czwórka.

Pełna gra zawiera w sobie 15 kombinacji obowiązkowych i trzy etapy. Należy mianowicie wyrzucić:

1. jedynki (obowiązkowo trzy. Jeśli wyrzuci się mniej, dostaje się punkty ujemne, powiedzmy ktoś poprzestaje na jednej jedynce i uzyskuje -2. Jeśli wyrzuci cztery, ma +1. Dotyczy to wszystkich kolejnych liczb, za brakującą do trzech minusy, za każdą powyżej trzech plusy).
2. dwójki
3. trójki
4. czwórki
5. piątki
6. szóstki

Razem w tych kombinacjach powinien osiągnąć 3 + 6 + 9+'12+ 15 + 18 = 63 punkty, wówczas ma 0. Jeśli osiągnie więcej, dostaje 50 punktów premii, jeśli mniej - 20 punktów kary, czyli już jest na minusie, a w stosunku do pozostałych graczy, którzy zyskali premię, różnica wynosi 70 i jest nie do odrobienia. Wszyscy zatem pilnują tej góry pazurami i zębami i liczą nerwowo, że skoro im brakuje dwóch dwójek, muszą zyskać czwartą piątkę, bo pięć to więcej niż cztery, zatem wychodzą na plus...

Następnie należy wyrzucić kombinacje pokerowe, już wyżej wymienione, do których dochodzi tak zwana szansa. Jest to na ogół coś, z czym nie wiadomo, co zrobić, liczą się w rzucie wyłącznie oczka na kościach i zapisuje się to z rozpaczy, zyskując dwa płoty. Ponadto z każdej kombinacji można zrezygnować, skreślić ją od razu, zarobić trzy płoty, względnie skreślić po pierwszym rzucie, zarabiając płotów dwa. Ogólna kolejność wyrzucania jest na tym pierwszym etapie absolutnie dowolna, można rzucać w milczeniu i brać, co wyjdzie.

Dojechawszy do końca, liczy się punkty i przechodzi do drugiego etapu.

Drugi etap różni się od pierwszego tym, że już po pierwszym rzucie trzeba się zdecydować, co się będzie zdobywało, i powiedzieć to głośno. Ma osoba na przykład dwie piątki, dwójkę, jedynkę i trójkę. „Rzucam do karety" powiada osoba i teraz już musi wyrzucić tę karetę, zostawia sobie owe dwie piątki i rzuca pozostałymi, jeśli nie

osiągnie czterech jednakowych, kareta jej przepada. Albo też decyduje się rzucać do małego strita, zostawia jedynkę, dwójkę, trójkę i jedną piątkę i rzuca jedną kostką, usiłując zdobyć brakującą czwórkę i osiąga cel albo nie. Bywa, że decyduje się rzucać do tych górnych piątek, co stanowi pewne niebezpieczeństwo, bo brak punktów grozi karą.

Obliczanie wyników odbywa się jak w etapie pierwszym i nadchodzi morderczy etap trzeci. Zważywszy, iż płoty zdobyte i zaoszczędzone w kolejnych etapach przechodzą na dalszą grę, wszyscy starają się mieć ich do tego trzeciego etapu jak najwięcej.

Trzeci etap polega na tym, że obowiązkowo rzuca się wszystkie kombinacje po kolei, zaczynając od górnych jedynek. Potem dwójki, trójki i tak dalej, potem parę, dwie pary i całą resztę. Jest rzeczą oczywistą, że osoba spragniona jedynek wyrzuca sobie mnóstwo piątek, szóstek, czwórek, przeszedłszy zaś do piątek i szóstek, jedynek i dwójek dostaje zatrzęsienie, jest to normalna złośliwość losu. Płotów zaczyna jej brakować już przy dwóch parach i cała reszta kombinacji przeważnie zostaje skreślona.

Potem się oblicza wyniki ostateczne i już wiadomo, kto wygrał. Potem przegrani domagają się rewanżu, a potem okazuje się, że słońce już wzeszło i nastał świeży poranek.

Tabela, którą można sobie raz narysować i puścić na ksero, wygląda następująco:

	etap I			etap II			etap III		
gracze									
1									
2									
3									
4									
5									
6									
miejsce na wyniki									
para									
2 pary									
trójka									
ful									
mały strit									
duży strit									
szansa									
kareta									
poker									
miejsce na wyniki									
miejsce na płoty									

Rubryk pionowych jest oczywiście tyle, ilu graczy bierze udział w rozrywce.

Premie wyglądają następująco:

Aż do fula nic się nie dzieje. Dopiero od fula poczynając każdą kombinację wyrzucaną z ręki mnoży się przez trzy, z wyjątkiem szansy, która, siłą rzeczy, zawsze wychodzi z ręki, chyba że ktoś się uprze do niej rzucać, co mu wolno, chociaż sensu nie ma. Ostatnia pozycja natomiast, poker, zapisywana jest potrójnie z zasady, nawet gdyby została wyrzucona dwudziestoma płotami. W ten sposób pięć piątek daje od razu 75 punktów, pięć szóstek 90, wyrzucone zaś z ręki liczy się podwójnie i daje 180. Wypadek nader rzadki. Premiowanie pokera jest niezbędne, bo inaczej nikt by się nie pchał do tych pięciu szóstek, trudnych do uzyskania.

Trudności zwiększają emocję.

Jedną taką grę pamiętam doskonale, a w dodatku został mi po niej zapis i bez wielkiego kłopotu mogę ją odtworzyć ze szczegółami. Komu się wyda nudne, niech po prostu nie czyta.

Grało pięć osób: Ewa, Tadeusz, Baśka, Paweł i ja. Dwie pierwsze osoby lubiły hazard łagodny i chętnie grywały w rozmaite gry towarzyskie, nie karciane, trzy pozostałe prezentowały upodobanie do hazardu ostrego bez żadnych ograniczeń. Kości podobały się wszystkim. Kolejność, rzecz jasna losowana, wypadła następująco:

Paweł
Ewa
Baśka
ja
Tadeusz

- Już widzę przed sobą promienne prognozy - rzekł Tadeusz smętnie, wyrzuciwszy przy losowaniu dwójkę.

Zważywszy, iż graliśmy po groszu na stare pieniądze, które w owym czasie były jeszcze nieco młodsze, ostateczne bankructwo mu nie groziło. Nikt go nie pocieszał, wręcz przeciwnie.

- Tak gada, a zobaczycie, co będzie wyrzucał - powiedziała Ewa z gniewnym rozgoryczeniem.

Wszyscy dostali herbaty i można było przystąpić do gry, która odbywała się na długim, niskim stole, tak zwanym jamniku. Cztery osoby siedziały przy jego dłuższych bokach, po dwie z każdej strony, a jedna, Tadeusz, przy krótszym, niejako u szczytu. Długość stołu pozwalała umieścić na nim także szklanki i popielniczki.

- Paweł, zaczynaj! - rozkazała Baśka.

Paweł potrząsnął kośćmi w zamkniętych dłoniach (graliśmy z ręki, bo z kubka nam się nie podobało) i rzucił.

-1 co to ma być? - spytał z powątpiewaniem, oglądając jedynkę, dwójkę, dwie czwórki i szóstkę.

- Co chcesz - odparła Baśka niecierpliwie.

- Zapisz jedynkę - poradziłam.

- Parę - podsunął Tadeusz.

- Nie, za mała. Dobrze, niech będzie jedynka. I dwa parkany.

Tadeusz zapisał mu minus 2, bo, jak łatwo obliczyć, do obowiązkowych trzech jedynek dwóch mu brakowało i postawił na dole kartki dwie kreski. Kości zgarnęła Ewa.

- Para - powiedziała stanowczo, widząc dwie piątki. -1 dwa płoty.

Baśka, wpatrzona w sufit, wałkowała kości przez chwilę.

- Ja chcę coś porządnego - oznajmiła stanowczo i rzuciła.

Dwie kostki poturlały się za daleko i zleciały na podłogę. Od razu pojawił się problem, jak je traktować. Przyjąć to, co pokazały, rzucać nimi drugi raz czy uznać rzut za nieważny i rzucać ponownie wszystkimi. Stanęliśmy na tym ostatnim, pod warunkiem, że utrata

przyrządów do gry nastąpi w pierwszym rzucie. W razie dorzucania do pokera lub fula, to, co na stole, zostaje, nawet gdyby reszta kości wyleciała za okno. Reguły zostały przyjęte i teraz już Baśka rzuciła nieco ostrożniej.

- Czwórki poproszę. Mam dwie. I dwa płoty.

Na górze miała już minus 4, co było łatwe do odrobienia. Rzuciłam. Wyszły mi dwie dwójki, dwie czwórki i jedynka. Na dwie pary to za mało, nie chciałam takich dwóch par.

- Dwójki mi zapisz - zażądałam i uzyskałam minus 2. Tadeusz odłożył długopis, zebrał kości i rzucił od razu, bez długiego potrząsania. Wyszły trzy szóstki.

- Co by tu... - zaczął w zadumie, ale Ewa przerwała mu natychmiast.

- No głupi czy jaki? Trójkę sobie zapisz i nie zawracaj głowy! Mówiłam wam, że tak będzie! On jeszcze karetę wyrzuci!

Paweł westchnął, potrząsnął raz i rzucił delikatnie.

- Czegoś tu widzę strasznie dużo. Dwójków jak mrówków. Całe dwie. Zapisz.

Na górze miał już minus 4. Ewa rzuciła w zaciętym milczeniu.

- Dwie szóstki, dwie czwórki. Dwie pary proszę, za dwadzieścia.

Baśce zleciała na podłogę tym razem tylko jedna kostka, ale za to poturlała się pod moją szafę biblioteczną. Nie miałam w domu myszy, która by ją wyniosła. Za to miałam zapasy.

- Czekajcie, Paweł, zostaw ten drąg. Mam szóstą, taką samą, tamta niech sobie leży. Ale jeśli za każdym razem będziesz tak rzucać, zaczniemy grać innym kompletem i one, te komplety, za szybko się skończą.

- A dużo ich masz?

- Ze cztery. I nawet piąty, ale taki, że trzeba patrzeć przez lupę.

- Ja ją przypilnuję - obiecał Paweł, ogarniając ramionami krawędzie stołu. Baśka rzuciła.

- Straszne świństwo - oznajmiła ze zgorszeniem. - Czwórki już mam, a takiej pary nie chcę. Jedynka niech będzie.

- To już masz minus sześć - ostrzegł Tadeusz.

- Czymś nadrobię. Joanna, teraz ty.

Rzuciłam. Na rezultat popatrzyłam ze wstrętem.

- Jedynka. Jedna.

Tadeusz znów starannie odłożył długopis, który poturlał się i zleciał na podłogę.

- Czy siła przyciągania działa u ciebie jakoś intensywniej? - zainteresowała się Baśka.

- Długopisów też mam parę sztuk - odparłam pocieszająco. - A jakby co, spod kanapy się wymiecie. Tylko szafa niedobra.

- Już go mam - oznajmił Tadeusz, wyłażąc spod stołu i położył

długopis w tym samym miejscu, na półeczce pod lampą. Zdążył go złapać, zanim sięgnął podłogi. Podejrzliwie obejrzał półeczkę, położył długopis nieco inaczej i znów go zdążył złapać.

- Czy ktoś może mu to odebrać i potrzymać w ręku, aż on rzuci? - spytała grzecznie Ewa.

Paweł, siedzący najbliżej, spełnił jej życzenie i chwycił spadający ponownie długopis przed Tadeuszem. Tadeusz nie usiłował mu go wyrwać.

- Myślałem, że człowiek potrafi przezwyciężyć prawa fizyki - usprawiedliwił się. - No dobrze, kto rzuca?

-Ty.

- A, ja... Rzucił.

- Dwie dwójki, trzy, cztery, sześć... Dwójki zapiszę. Mam czym?

- Masz.

Paweł oddał mu długopis i, kręcąc nosem, kazał sobie zapisać dwie trójki. Miał minus 7. Odpracowanie tego zaczynało być trudne. Ewa uzyskała dwie szóstki, jedynkę, trójkę i czwórkę. Zaczęła nad tym medytować.

- I po co ja zapisałam parę z piątek...? Jedynkę...? Nie. Rzucę jeszcze.

- Do czego? - zainteresował się Tadeusz.

- A co cię obchodzi? Co wyjdzie, to będzie. Odłożyła na skraj stołu dwie szóstki, rzuciła i zdobyła trzecią.

- Trójkę poproszę. I jeden płot mi ocalał.

Baśka zebrała kości, Paweł rozłożył ręce po jednej stronie stołu, ja po drugiej. Ewa zerwała się nagle, chwyciła z fotela koc, zrolowała go pośpiesznie i utknęła pod szafą biblioteczną.

- Pozwolisz? - powiedziała do mnie. - Tak będzie bezpieczniej.

Baśka z uznaniem kiwnęła głową, wykorzystując ten czas na turlanie kości w dłoniach.

- Jedyna rozumna osoba - pochwaliła i rzuciła. Przez chwilę oglądała rezultat. - Wszyscy widzą, że straszne świństwo mi wyszło. Nie chcę więcej minusów. Ile mam płotów?

- Cztery.

- To rzucam.

Rzuciła, zostawiając na boku jedną szóstkę. Wyszły jej dwie jedynki, trójka i czwórka.

- Cholera - skomentowała pod nosem i rzuciła po raz trzeci. Wyszły dwie dwójki, czwórka i szóstka.

- Masz dwie pary, jakby co - zauważył Paweł.

- Nie chcę. Jak już tracę, to niech wiem po co. Cztery płoty, mówisz? Możecie liczyć.

- Pierwszy - policzyliśmy chórem. Dwie jedynki i czwórka. - Drugi... Masz trzecią szóstkę...

- No to co, że mam? A może ja chcę więcej?

- Trzeci... Czwarty! Koniec!

- Trójkę z szóstek mi zapisz. Nie mam płotów. Już widzę, jak to odrobię!

Rzuciłam. Wyszła mi obrzydliwość. Dwie czwórki, jedynka, piątka i dwójka. Zgniewało mnie.

- Parę mi zapisz. Za osiem.

- Ja bym rzucał do małego - podsunął Paweł. - Tylko ci trójki brakuje.

- Już się rozpędziłam niszczyć płoty na tego parszywca. Wyjdzie sam albo nie wyjdzie wcale. I dwa płoty.

Tadeusz przełożył długopis do lewej ręki, a prawą zgarnął kości. Rzucił.

- Przestał walczyć z prawami fizyki - mruknęła pod nosem Ewa.

-I na złe mi wyszło - westchnął. - Co ja tu mam? Dwa, dwa, trzy, pięć, sześć... Co ja mam z tym zrobić... Wiem! Szansę! Ile to razem...? Osiemnaście. Szansa i dwa płoty.

Paweł pochuchał w dłonie i rzucił delikatnie, bez rozmachu. Wszyscy wpatrzyliśmy się w czarne kropki.

- Co on tu ma...? Jeden, dwa, trzy... Jest! Mały strit!

- Mówiłam, że sam wychodzi albo wcale! - wytknęłam.

- Zapisz mi - poprosił Paweł uroczyście. - Potrójnie, całe czterdzieści pięć. I dwie sztachetki.

- On gotów wygrać! - zwróciła nam uwagę Baśka, ostrzegawczo i z oburzeniem.

- Już go za to zabić czy za chwilę? - spytała zgryźliwie Ewa i zgarnęła tego małego strita.

- Za chwilę, niech jeszcze pogra. Ugryzłabym go w razie potrzeby, ale za daleko siedzę. Ewa rzuciła.

- Trzy szóstki, jedynka i dwójka. Trójkę już mam...? Na górze nic? To zapisz szóstki jako takie. I płoty.

Tadeusz wpisał krzyżyk w odpowiedniej rubryce, bo te górne szóstki wyszły jej na zero. Trzy, jak należy. Nie miała jeszcze żadnych minusów. Baśka rzuciła dość łagodnie i zdobyła dwie szóstki, dwie jedynki i dwójkę.

- Mam parę...? Nie mam. Bardzo dobrze, pisz parę i dwa płoty.

- Też bym chciała mieć parę - westchnęłam smętnie, rzucając. - No i chała. A, nie, parę już mam... Co tu jest? Jeden, cztery, sześć, trzy, trzy... Trójek nie mam? To zapisz, dwie sztuki. Paweł ma minus siedem, to i ja mogę. I płoty.

Tadeusz uznał nagle, że walka z prawami fizyki przynosi mu fart, i znów wycelował długopisem w półeczkę pod lampą. Półeczka była szklana, śliska i nie trzymała poziomu idealnie, musiała być nawet nieco zwichrowana, bo okrągły długopis bez skuwki w żadnej pozycji

nie chciał na niej leżeć, tyle że turlał się raz wolniej, raz szybciej. Zerwałam się z krzesła, popędziłam do kuchni i przyniosłam tackę ze styropianu, pozostałą po jakimś produkcie spożywczym. Postawiłam ją na półeczce.

- Masz. Z dwojga złego łatwiej walczyć z prawami fizyki niż z tobą. Kładź go teraz, jak chcesz.

- To nie to samo - zaprotestował Tadeusz, ale pogodził się z tacką i sięgnął po kości.

Wyszły mu dwie szóstki i jakieś śmieci. Zapisał parę, wahając się, czy ma to uważać za dobry omen, czy też wręcz przeciwnie. Paweł przystąpił do potrząsania.

- Sześć, sześć, dwa, dwa... No dobrze, niech będzie para.

- Ja jestem zacięta - powiadomiła nas nagle Ewa. - Nie chcę minusów na górze. Będę rzucała nawet do jedynek!

- Daj ci Boże zdrowie, ciekawe, na ile ci te płoty wystarczą...

- Dwie piątki, trzy, cztery, sześć... Rzucam! Odłożyła na bok piątki, rzuciła i dostała trzecią.

- Bardzo dobrze. Piątki jako takie. Trzy, w normie. I jeden płot.

Rzuciła Baśka. Zapomnieliśmy o ochronie stołu i dwie kostki trzeba było wydostać spod kanapy. Wlazła pod kanapę osobiście, bo była najszczuplejsza ze wszystkich zgromadzonych u mnie osób, ponadto w ten sposób usiłowała okazać skruchę. Wyłażąc, oparła się ręką o róg stołu, a ściśle biorąc o spodeczek, stojący na tym rogu, który uzupełniała szklanka z herbatą. Niepełna, zostało w niej tej herbaty trochę więcej niż pół.

- Nie zawracajcie głowy, ta podłoga jest lakierowana, sama wyschnie - powiedziałam niecierpliwie, zbierając na śmietniczkę kawałki szkła. - Szklanki jeszcze mam i chyba nikt z was nie jest boso? Czyja to była herbata?

- Moja - powiedziała Ewa nieco cierpko.

- Zaraz ci naleję drugiej, a ona niech rzuca. Tylko trochę mniej energicznie. Tadeusz, zasłoń z tej strony...

Baśka rzuciła umiarkowanie, dostała dwie szóstki, jedynkę, dwójkę i trójkę i popadła w zamyślenie.

- Szansa i niech ją szlag trafi - zadecydowała wreszcie energicznie. - I dwa płoty. Ile to jest?

- Osiemnaście - odparł Tadeusz, zapisując.

Oderwałam się od czajnika w kuchni, bo była moja kolej. Wyrzuciłam mieszaninę do niczego. Odłożyłam na bok szóstkę i postanowiłam rzucać cokolwiek. Dwie czwórki, dwie dwójki, do bani. Jeszcze raz. Dwie szóstki...

- Trójkę zapisz. W ramach, bezpłotowo.

Tadeusz wyrzucił dwie jedynki, zapisał sobie i niechętnym okiem popatrzył na styropianowy półmiseczek. Baśka, kiedy przyszła na nią

kolej, po wałkowała kości w dłoniach, zajrzała do nich jednym okiem i powiedziała groźnie:

- No...?

Po czym rzuciła.

Wyszły jej trzy dwójki, które kazała zapisać.

- No proszę, jak się do nich co powie, to one rozumieją - dodała z satysfakcją.

- Jest w tym coś - przyznałam, potrząsając kośćmi. - Ja też powiem. Ech, wy takie tego...

Wypowiedź się kościom nie spodobała, dwie dwójki potrzebne mi były jak dziura w moście. Odłożyłam na bok jedną szóstkę i zgarnęłam resztę.

- Już w gruzach leżą Maurów posady - powiedziałam dobitnie.

- Zwariowałaś? - zdumiała się Ewa.

- A czy ja wiem, może one lubią poezję...?

- Średnio lubią - zaopiniował Paweł, ponieważ doszła mi tylko jedna szóstka, z której też pożytku nie miałam. Rzuciłam trzeci raz.

- Trzy szóstki. Trójkę już mam...? No to nie ma siły, liczcie parkany.

- Pierwszy - zaczęli chórem. - Drugi... Jest! Nie zamierzałam przesadnie ryzykować, też chciałam wygrać.

- Pisz do szóstek na górze - zarządziłam, ruszając do kuchni po herbatę dla Ewy. - Jedna więcej. Dwa płoty zużyłam. I rzucaj.

Tadeusz z lekkim wahaniem odłożył długopis na półmiseczek i rzucił. Wyszły mu dwie czwórki, dwie jedynki i dwójka, co zdążyłam obejrzeć, bo medytował nad tym przez chwile.

- Jedynki mam. Dwie pary...? Nie, za małe. No trudno, rzucam.

Do dwóch czwórek już pierwszym rzutem doszła mu trzecia i czwórki na górze miał z głowy, a jeden płot ocalał. Postawiłam szklankę z herbatą pod łokciem Ewy, która od razu skorzystała z napoju. Paweł zaczął potrząsać.

- Mówicie, że trzeba coś mówić? Jak ja im powiem, to im oko zbieleje. Prozą mogę. Ja wam pokażę, jak wy mi tego... Chciałem powiedzieć, jak wy mi nie tego...

Kości musiały się przestraszyć, bo na widok rezultatu Ewa, trzymająca akurat szklankę przy ustach, wylała na siebie prawie całą herbatę. Cztery szóstki mu wyszły.

- No proszę, mówiłam, że wyrzuci karetę! - wykrzyknęła ze zgrozą Baśka.

- Na drugi raz nie mów takich rzeczy w złą godzinę - poprosił Tadeusz.

- Cholera - powiedziała równocześnie Ewa.

- Kareta z ręki - powiedział Paweł z zadowoleniem. - Potrójnie, to jest siedemdziesiąt dwa, o ile umiem liczyć.

- Łajdak - powiedziała Baśka.

- Ja nie jestem skąpa i tej herbaty ci nie żałuję - powiedziałam do Ewy. - Dam ci trzecią, ale jak już chcecie ją wylewać, to może lepiej od razu za okno, po co w mieszkaniu. Mżawka i wilgotno, wielkiej różnicy te trochę płynu nie zrobi. Nie, czekaj, do łazienki pójdziesz za chwilę, teraz rzucaj, twoja kolej.

Otrząsając z siebie strugi napoju, Ewa rzuciła. Dwie trójki, dwójka, czwórka i szóstka. Zostawiła trójki. W dwóch następnych rzutach nie przybyła jej ani jedna. Zaczęliśmy liczyć płoty. Jeden wystarczył, trzecia trójka, kazała te trójki zapisać i popędziła do łazienki. Kości złapała Baśka.

- Nie mogły to być dwie pary? - prychnęła z gniewem na widok dwóch szóstek i jednej piątki. - No trudno, rzucam. Trzecia szóstka... Nie, za mało. Jeszcze raz! Liczcie płoty.

- Pierwszy... drugi... trzeci... Jest!

Czwarta szóstka ją usatysfakcjonowała, zapisała ją na górze, bo z dwojga złego lepiej było stracić karetę, niż zostawić tę górę na minusach. Paweł zapisał karetę na dole, jako karetę, bo dzięki rzutowi z ręki liczyła mu się potrójnie, co góry nie dotyczyło. Baśka na górze osiągnęła właśnie zero, równoważąc swoje minusy.

Rzuciłam, z rozgoryczeniem i pretensją popatrzyłam na dwie czwórki i przystąpiłam do dalszych rzutów. Dwa, nic z tego. Płoty! Zużyłam jeden, miałam trzy czwórki. Zapisałam na górze.

Tadeusz przełożył długopis do lewej ręki i rzucił. Dwie czwórki, szóstka...

- Czwórki już mam. No dobrze, będzie nie będzie...

Zaczął rzucać do tej jednej szóstki i natychmiast wyszły mu dwie pary, szóstki i piątki, jeden płot ocalał. Paweł sięgnął po kości.

- Zapomniałem, co ja do nich mówiłem, a takie to było skuteczne...

- Nie jest najgorzej - pocieszyłam go. - Dwie pary, osiem i osiem, szesnaście. Nie chcesz takich?

- Chcę. Zapisz. I dwa płoty.

- Na co ci tyle płotów? - skrzywiła się Baśka.

- Na czarną godzinę. Kto teraz?

- Ewa. Ona się tam suszy czy pierze?

- Jestem już, jestem - powiedziała Ewa, wychodząc z łazienki w moim szlafroku. - Nie masz nic przeciwko temu, żebym zużyła twój szlafrok? Wszystko mam mokre.

- Mogę ci także pożyczyć bluzkę i koszulę. I nawet jakąś spódnicę. Ale to za chwilę, teraz rzucaj.

Ewa rzuciła. Dwie szóstki i śmietnik. Już uczyniła ruch, żeby rzucić ponownie, i zreflektowała się.

- Nie, nic z tego nie będzie. Szansę poproszę. Ile to...?

Dwadzieścia jeden. Bardzo dobrze.

- Jak komu - zauważyła Baśka i pomamrotała coś do wnętrza dłoni. Rzuciła. - Trzy jedynki! Od tego może człowieka szlag trafić! I płotów nie mam?

- Masz trzy - odparł Tadeusz.

- No trudno, rzucam. Wszystko jedno, co z tego wyniknie.

Dwie czwórki, pięć, sześć i jeden. Ironia losu, czwórki już miała zapisane. Odłożyła na bok piątkę i szóstkę, rzuciła jeszcze raz, wyszły jej dwie pary.

- Zapisać! W ramach.

Zdobyłam dwie pary, też w ramach, bezpłotowo, i poszłam do kuchni po kolejną herbatę dla Ewy. Tadeusz wyrzucił dwie piątki, dwie trójki i jedynkę. Dwie pary już miał, zapisał minus trzy. Paweł rzucił ostrożnie, dwie dwójki, trójka, czwórka i szóstka.

- Aż się prosi o dużego. Ale nie będę... A może...? Chwycił nagle jedną dwójkę, poturlał i dostał brakującą do dużego strita piątkę.

- Zapisać! I jeden parkan!

- Ślepy fart, jak to ślepy, nie tam chodzi gdzie trzeba - ogłosiła w przestrzeń Baśka.

Ewa rzuciła w milczeniu, nieufnie łypiąc okiem na szklankę, którą właśnie postawiłam obok niej na stole. Spojrzała i wydała okrzyk.

- Coś takiego! Raz, dwa, trzy, cztery, pięć! Czy ja dobrze widzę? Mały! I dwa płoty!

- Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje, a bogatemu diabeł dzieci kołysze - powiedziała Baśka i zwróciła się do zgarniętych w dłoń kości: - Wy sobie wyobraźcie, że ja jestem bogata, dobrze?

Dostała dwie trójki i kazała je zapisać na górze. Tadeusz zapisał, też na górze, cztery szóstki. Paweł wyrzucił trzy piątki i zapisał jako trójkę. Płotów miał najwięcej z nas wszystkich i ścibolił je starannie. Ewa, odsunąwszy uważnie szklankę z herbatą, uzyskała dwie trójki, dwójkę, czwórkę i szóstkę. Trójki już miała.

- No dobrze, spróbuję się wygłupić - oświadczyła z determinacją i zaczęła rzucać dalej, zostawiwszy jedną szóstkę. Po trzech rzutach miała ich już trzy i wtedy się zreflektowała.

- No dobrze i na co mi to? Szóstki już mam. Tadeusz, dlaczego ty mi nie mówisz, co ja już mam?

- Myślałem, że rzucasz do pokera - usprawiedliwił się Tadeusz.

- Do pokera, cha, cha. Liczcie płoty. Ile mam?

- Trzynaście.

- No trudno...

Chór odezwał się od razu. Przy czwartym płocie dostała dwie czwórki i zażądała zapisania fula.

- No, no...? - powiedziała znów Baśka do swoich dłoni ostrzegawczo.

W ostatniej chwili udało nam się osłonić stół ramionami i żadna kostka nie zleciała na podłogę. Dwie szóstki, dwie trójki, a potrzebne jej były piątki.

- Coś zrobię - zdecydowała. - Ile mam płotów?

-Pięć.

Trzecim płotem dostała trzecią szóstkę i również zapisała fula.

- Zwracam ci uwagę, że ciągle nie masz piątek - powiadomił ją Tadeusz. - Musisz mieć cztery, inaczej zostaniesz na minusie.

- Proszę mnie nie denerwować - odparła Baśka. - Idę sobie zrobić herbaty, kto chce jeszcze? Ty siedź, znam twoją kuchnię.

Zapotrzebowanie zgłosił Paweł. Baśka zabrała dwie szklanki i wyszła. Zaczęłam rzucać.

- Jeden, dwa, trzy, pięć, sześć... O, nie! Nie powiem, gdzie mam strity. Tadeusz, ile tam...? Siedem. Zaraz, jeszcze dwa w normie.

W normie dostałam jeszcze dwie piątki, razem trzy. Za mało. Po dwóch płotach przyszły mi dwie szóstki.

- Urodzaj na fule. Trudno, zapisz.

- Walczyć z tą fizyką czy nie...? - pomamrotał z wahaniem Tadeusz. Odłożył długopis na półmiseczek i rzucił.

Po czym na widok licznych czwórek zdenerwował się i zaczął rzucać dalej wszystkimi kośćmi. Wiadomo było, że tęskni do piątek. Po dwóch płotach dostał cztery i zapisał je z wielką ulgą. Górę miał z głowy, wyszedł na plus 5.

Baśka wróciła z parującą herbatą we właściwej chwili, akurat na swoją kolej. Podała jedną szklankę Pawłowi, który postawił ją na półmiseczku pod lampą, drugą umieściła obok szklanki Ewy. Zgarnęła kości i rzuciła.

- Płotów nie mam, co? To niech one się zastanowią, co robią!

Kości jakoś nie bardzo się zastanowiły, bo dały jej złośliwość. Sześć, pięć, cztery i dwie dwójki.

- Duży strit aż się prosi - zauważył zachęcająco Paweł.

- Jeszcze czego... - zaczęła wojowniczo, ale nagle chwyciła jedną dwójkę i poturlała ją po stole. Pojawiła się brakująca trójka.

- Coś podobnego! Miałeś jasnowidzenie? I jeszcze jeden płot mi został!

- Ja bym chciała piątki - westchnęłam rzewnie.

Chcieć sobie mogłam, dostałam dwie szóstki i dwie czwórki i za skarby świata nie wiedziałam, co z tym zrobić. Zostawiłam szóstki, rzuciłam resztą i wyszła mi jedna piątka. Z determinacją zostawiłam piątkę i już za pierwszym płotem wyszły cztery. Zakończyłam górę. Do gry przystąpił Tadeusz, ulokowawszy długopis na spodeczku szklanki Pawła.

Pięć płotów zmarnował, żeby wyrzucić fula, bo do stritów rzucać nie chciał. Paweł zgarnął kości, potrząsnął nimi i jedna mu się nagle

wypsnęła z garści. Z impetem przeleciała przez cały stół w kierunku Baśki, Baśka, usiłując ją złapać, gwałtownie wysunęła rękę, strzeliła nią niczym z procy i bezbłędnie trafiła Pawła w oko. Z chrapliwym jękiem chwytając się za oko, Paweł puknął łokciem w półeczkę pod lampą i jego szklanka razem z półmiseczkiem trzasnęła w podłogę, cała herbata wylała się Tadeuszowi do butów, a kości rozleciały się dookoła. Tadeusz syknął, bo herbata była jeszcze gorąca, i pośpiesznie jął zdzierać z nóg obuwie.

- Tyle dokonać jednym ruchem, to wielka sztuka

- jęknął z podziwem.

Zdenerwowana Baśka, przechylając się przez niego, usiłowała oderwać rękę Pawła od twarzy i zbadać mu oko. Tadeusz nie miał się gdzie odsunąć, bo za nim była ściana. Przeszkadzałam jej również, zerwałam się, odpychając krzesło, które przewróciło się do tyłu i oparciem stłukło szybę w szafie bibliotecznej. Zagroziła nam ruina generalna.

- Jakiś zły duch przelatywał przez twoje mieszkanie - powiedziała z przekonaniem Ewa, przezornie nie ruszając się z miejsca.

- Boję się, że jeszcze leci - odparłam z niepokojem.

- Może ma długi ogon - posunęła nerwowo Baśka.

- Weź tę rękę, zobacz, czy jeszcze widzisz. Drugim widzisz? Nie chciałam, słowo honoru!

- Pierwszym też widzę - powiedział Paweł, ostrożnie wyglądając na świat spod dłoni. - Dużo gwiazd i takie kolorowe kawałki. Co to za szczęście, że nie noszę okularów!

- Pewnie, że nie chciałaś, gdybyś chciała, w życiu byś tak nie trafiła - zapewniłam równocześnie Baśkę, która z uporem wypytywała Pawła.

- A nas widzisz? Czy same kolorowe kawałki? Ruchome, latają ci? Może chcesz wody? Zabierz wreszcie tę rękę, niech ja popatrzę! A co widzisz pomiędzy kawałkami? Boli cię?

- Czy pozwolicie, że zdejmę także skarpetki? - spytał grzecznie Tadeusz, przytłoczony do oparcia fotela.

Paweł odjął wreszcie rękę od oka, okazało się, że widocznego uszkodzenia nie doznał. Zapewne kostka trafiła go płaskim bokiem, a nie kantem. Zamrugał, rozejrzał się i oznajmił, że boli go nie bardzo, a ilość gwiazd i kolorowych kawałków wyraźnie się zmniejsza. Ewa uznała, że zły duch razem z ogonem już przeleciał, podniosła się z kanapy i zaczęła zbierać z podłogi kości. Znalazła cztery, piąta gdzieś przepadła. Wyciągnęłam drugi komplet, trochę bardziej kanciasty niż ten pierwszy. Ściśle biorąc, nie było co wyciągać, kości stały w kubeczku na półce tuż obok stołu, wysypałam je po prostu.

-1 po co ja się musiałam tak zdenerwować - powiedziała gniewnie Baśka. - Zaraz posprzątam.

- A co tu jest do sprzątania - odparłam lekceważąco i ruszyłam do kuchni po szczotkę do zamiatania. - Lepiej zrób mu nową herbatę. Herbaty jest w ogóle dużo, tylko szklanek może nam zacząć brakować, zanim tę grę skończymy.

- W takim razie grajmy prędzej - zaproponował Tadeusz i rozwiesił swoje skarpetki na poręczy fotela. - Kto teraz rzuca? Zaraz, zdaje się, że nie mam czym pisać.

Paweł pozbył się już widocznie dekoracji sprzed oka, bo bez trudu odnalazł pod nogami styropianową tackę, otrząsnął ją z herbaty i umieścił pod lampą. Wśród kawałków szkła znalazłam długopis. Wymiotłam szybę, szklankę i spode-czek do kąta w przedpokoju, ostrzegając Tadeusza, żeby przypadkiem nie pchał się tam, dopóki nie włoży butów, i zostawiając szczotkę w tych śmieciach, żeby były znaczne. Baśka przyniosła nowy napój. Sytuacja wróciła do równowagi.

- Ty rzucasz - powiedział Tadeusz do Pawła. - Możesz?

- Co mam nie móc? - odparł Paweł i rzucił.

Ujrzawszy jedynkę, trójkę, szóstkę i dwie piątki, zdecydował się na te piątki. Już jednym rzutem dostał trzecią. Przy drugim wyszły mu dwie szóstki, potrzebne jak dziura w moście.

- No, to teraz płoty...

- Pierwszy - zaczął chór. - Drugi... Trzeci...

W ostatecznym rezultacie ten pierwszy etap wygrał Paweł, któremu udało się także wyrzucić dużego pokera, pięć szóstek. Po nim był Tadeusz, tuż za nim Ewa, dalej ja. Baśka, rzecz jasna, na końcu, ponieważ za skarby świata nie chciały jej przyjść żadne piątki i nie zdobyła ich dostatecznej ilości. Położyła ją ta góra, dostała karę zamiast premii.

Cały dowcip z dużym pokerem polegał na tym, że rezultat w tej ostatniej rubryce zawsze mnożyło się przez trzy i pięć szóstek dawało 90 punktów. Była to bardzo istotna pozycja, którą zrównoważyć mogły tylko ful i kareta z ręki.

Przystąpiliśmy do drugiego etapu.

- Nie zimno ci w nogi? - spytałam Tadeusza, rychło w czas. - Może ci dać termofor albo jakie skarpetki?

- Termofor to nie, ale skarpetki by się przydały. Albo jakie kapcie. Trochę tu mokro, czego w ferworze gry dotychczas nie dostrzegałem.

- Proszę cię bardzo, po moich synach dużo zostało...

- Pora roku niedobra - westchnęła Baśka. - Już zimno, a jeszcze nie grzeją.

Przypomniałam sobie, że posiadam elektryczny kaloryfer. Ustawiłam go w drzwiach do drugiego pokoju i włączyłam. Ewa rozwiesiła na nim swoją halkę, bluzkę i spódnicę, także skarpetki Tadeusza, jego buty zaś ustawiła noskami do góry, opierając je o

żeberka. Wróciła do stołu i znów zaczął Paweł.

Od razu wyrzucił trzy trójki i nie było problemu, co ma zapisać. Ewa zapisała dwie jedynki, czyli minus jeden. Baśce wyszedł z ręki ful z trzech piątek i dwóch jedynek.

- Teraz będę zbierać płoty na zapas - oznajmiła - choćbym miała wszystko skreślać!

- Na razie nic nie musisz skreślać, bo ci samo wychodzi - zauważyłam, godząc się smętnie na swoje dwie dwójki.

Tadeusz, uzyskawszy zaszczytne drugie miejsce zaraz za Pawłem, pogodził się ze styropianową tacką i przestał walczyć z długopisem. Wyrzucił parę szóstek i zapisał ją, bardzo zadowolony.

- Jakoś wszyscy startują z dużym wizgiem - rzekł Paweł, rzucając. - O, dwie pary. Ale nie chcę takich, zapisz te dwie jedynki. Też będę zbierał płoty na zapas.

- Jeżeli dwie jedynki to jest taki świetny start, to ja wolę być koniem wyścigowym - oświadczyła zgryźliwie Ewa. - Co to jest? Trzy, trzy, dwa, cztery, pięć... Dwie trójki proszę. I dwa płoty.

- Chyba klaczą...? - poprawiła ją Baśka. - On o tym starcie w złą godzinę powiedział. Dwie jedynki mam i niech zostaną.

- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć - policzyłam ze zdumieniem. - Mały mi wyszedł, pisz czym prędzej!

Tadeusz zdecydował się na dwie trójki. Paweł wyrzucił dużego strita i znów nie musiał się zastanawiać. Ewa zapisała parę z dwóch szóstek, Baśka również. Na razie przechodziło nam ulgowo. Wyrzuciłam trzy szóstki i zapisałam jako trójkę, Tadeusz dostał dwie szóstki i dwie trójki, akurat trójki i parę już miał, z żalem zdecydował się na dwie pary. Paweł westchnął i poprosił o zapisanie pary z dwóch piątek. Ewa dostała dwie pary nieco większe, szóstki i czwórki, Baśce się jej pary nie spodobały, czwórki i dwójki, namyśliła się na dwójki.

- Znów sobie robisz minusy na górze - zwróciłam jej uwagę i rzuciłam. - Pary nie mam? To poproszę. Z szóstek.

Za którymś kolejnym rzutem dostałam trzy czwórki, ucieszyłam się bardzo i postanowiłam zrobić sobie herbaty. Na gorącej mi nie zależało, mogła być zimna, ale w czajniku nie było już wody. Nalałam nowej, postawiłam na gazie i wróciłam do pokoju. Tadeusz zdążył w tym czasie wyrzucić i zapisać również trzy czwórki.

- Nie chcę czwórek - powiedział ostrzegawczo Paweł.

- Czwórki już mam. Dwie trójki... Trójki też już mam. Czy one głupie, te kości?

Pozastanawiał się chwilę.

- Do karety rzucam - oznajmił. - Rewolucyjnie... Albo nie, gorzej, do pokera!

- Oszalał - zaopiniowała Ewa ze zgrozą.

- Wcale nie. Więcej płotów miał nie będę, jedyna okazja.

Zaczął rzucać wszystkimi kośćmi, zlekceważywszy jedną czwórkę. Patrzyliśmy z szalonym zainteresowaniem. Jedna szóstka pojawiła się od razu, potem długo nic, przy czwartym płocie miał już cztery, a szóstym osiągnął tego pokera. Ocalały mu cztery płoty.

Ewa dostała dwie piątki, czwórkę, dwójkę i jedynkę.

- Piątki już mam...? Zaraz... Gdybym zapisała jedną dwójkę, to ile minusów mi wyjdzie?

- Osiem - policzył Tadeusz.

- Osiem... A czwórka i szóstka, to dziesięć? Pisz jedną dwójkę!

- To teraz zaczniesz dostawać dwójków jak mrówków

- wyprorokował jej Paweł.

Baśka dwie czwórki zaaprobowała.

- Dorzucę do nich. Do czwórek jako takich rzucam, żeby nie było gadania!

Trzecią czwórkę dostała od razu i jeden płot jej przybył.

- Nie chcę czwórek - zapowiedziałam groźnie.

I oczywiście dostałam dwie. Też nie wiedziałam, co z tym fantem zrobić. Odłożyłam piątkę i szóstkę i oznajmiłam, że rzucam do dwóch par.

Zmarnowałam na te dwie pary pięć płotów, po drodze zaś zyskałam karetę z piątek. Zwykła ironia losu, ale skoro już zapowiedziałam, że rzucam do dwóch par, żadna inna kombinacja nie wchodziła w rachubę. Tadeusz znów nie wyrzucił ani jednej dwójki, miał za to szóstkę i namyślił się na szóstki, te u góry. Dwoma rzutami zdobył cztery. Paweł miał dwie piątki.

- Do dwóch par to ja się wygłupiał nie będę - zadecydował. - Piątki rzucam, jako takie.

Tadeuszowi wyszły cztery czwórki, ucieszył się szaleńczo i zapisał karetę. Wyraźnie wysunął się na prowadzenie. Paweł dostrzegł niebezpieczeństwo i postanowił się zmobilizować. Oznajmił, że rzuca do górnych szóstek, aczkolwiek z ręki nie dostał ani jednej.

- Skoro one głupie, to może im się coś pomyli - wyjaśnił genezę decyzji.

Chyba miał rację, bo już pierwszym płotem załatwił sprawę, zdobył tych szóstek cztery. Tadeusz zmarnował sobie dużego strita.

- Nie, to nie - stwierdził melancholijnie już po drugim rzucie i skreślił go.

Na prowadzenie po paru następnych kolejkach wysunął się Paweł.

- Piątków ogromne zatrzęsienie. Całe dwie. Kareta!

Już drugim płotem wyrzuciła mu się nie tylko kareta, ale nawet poker. Pięć piątek, potrzebne jak dziura w moście. Brakowało mu jeszcze głupstwa zupełnego, trójki.

- Wiem, co skreślę - zapowiedziała Ewa z góry. -1 zgadza się, won z dużym! Za to proszę dwa płoty.

- Mnie też dużego proszę won - zażądała Baśka na widok dwóch jedynek.

Wymyśliłam sobie fula, nie przyszedł, wyglądałam najgorzej. Tadeusz nagle zauważył, że nie ma jeszcze trójki.

- Czy ona nie mogłaby przyjść sama? - spytał smętnie i rzucił.

- Może by i mogła, ale, jak widać, nie chciała.

Ewa, ku własnemu zdumieniu, zdobyła pokera, Baśce wyszła brakująca kareta. Kazałam skreślić dużego strita i zapisać dwa płoty, Tadeusz zrobił to samo, z wielkim wysiłkiem uzyskawszy przedtem tę oporną trójkę.

- Liczymy! - zarządził.

Po dwóch grach okazało się, że ciągle najlepszy jest Paweł, tuż za nim Tadeusz, Baśka wyszła na trzecie miejsce, a ja spadłam na koniec. Pawłowi zostały dwa płoty, Ewie zero, Baśce siedem, mnie dwa, a Tadeuszowi sześć. Zaczęliśmy etap trzeci, najgorszy.

- Jedynki - rzekł Paweł smętnie. - Już je widzę. Zdziwił się, że dostał jedną.

- Pisz, minus dwa. I dwa płoty.

Ewa nie wyrzuciła żadnej, co było normalne, zapisała minus trzy i też dwa płoty. Baśka zdobyła jedną, ja też, a Tadeusz znów żadnej. Wszyscy twardo zarabiali płoty.

- A ja teraz rzucam, na przykład, do piątek - oznajmił Paweł podstępnie.

Takie głupoty wolno było mówić, bo i tak trzeci etap miał kolejność ściśle ustaloną.

- No, no? - zainteresowała się gwałtownie Baśka.

Podstęp nie dał efektu, dwójka mu wyszła tylko jedna. Zapisał ją i już miał na górze minus 6. Ewa zdobyła też jedną, minus 7, Baśce wyszły liczne szóstki.

- Mam płoty? To spróbuję... Raz... dwa... Szlag mnie trafi. Płotami! Jedna jest...Trzy! Pisz, dwójki w normie, dwa płoty zmarnowałam!

- Jeszcze ci parę zostało - pocieszył ją Tadeusz.

Poprzestałam na jednej dwójce i miałam tyle co Paweł. Tadeusz zdobył dwie.

Paweł uparł się przy swoim.

- Rzucam... rzucam... do szóstek! O, cholera... Wyszły mu dwie szóstki, a de facto potrzebne były trójki, których nie wyrzucił ani jednej. Powtórzył operację.

- Dwie, w ramach. To ile wypada...? Minus dziewięć? Piątką i szóstką do nadrobienia... Pisz! Bezpłotowo. Rzuciła Ewa.

- Ach - powiedziała ze wzruszeniem - całe dwie! Ile to... Siedem, dziesięć... Do nadrobienia. Pisz! I dwa płoty!

- Dwie! - krzyknęła uszczęśliwiona Baśka. - Pisz! I dwa płoty!

Byliśmy już przy jednej parze, kiedy Tadeusz powstrzymał nagle gest rzucania i jakoś nadstawił ucha w kierunku przedpokoju.

- Czy mi się zdaje, czy u ciebie w kuchni coś pyka? Albo może strzela?

W tym samym momencie dotarł do mnie charakterystyczny dźwięk i wyprysnęłam z krzesła.

- Jezus Mario, czajnik...!!!

Pusty i rozpalony czajnik na gazie strzelał jak dziki. Przez chwilę nie wiedziałam, co zrobić, bo ręką go ująć nie było można, zgasiłam tylko gaz. Do kuchni za mną wpadła Baśka.

- Przez ścierkę...!

- Nie, mam tu rękawicę... Gdzie ta cholera... Jest!

Przez ten czas Baśka złapała ścierkę, ogarnęła nią czajnik, chciała uchwycić pałąk, ale ścierki było za dużo i ,źle trafiła, rozpalony czajnik rąbnął w podłogę. Udało nam się uchronić nogi. Podjęłam go przez rękawicę, podstawiłam pod kran, poryczał trochę i uspokoił się. Nalałam wody i zapaliłam gaz.

- Trzeba go wygotować parę razy, bo będzie śmierdział. Mam doświadczenie, spaliłam różne czajniki już ze dwadzieścia razy w życiu.

- Masz jeszcze jakiś zapasowy?

- Mam, ale bardzo duży.

- Lepszy za duży niż za mały. A, to ten, co go trzymasz w łazience...? Rzeczywiście, na pułk wojska wystarczy...

Tadeusz grzecznie zaczekał z rzucaniem do naszego powrotu. Wyszły mu dwie czwórki.

- Zawsze to lepsze niż jedynki - zaopiniował.

Paweł westchnął ciężko, rzucając do dwóch par. Nawet je dostał i nie najgorsze, dwie piątki, dwie trójki. Ewa zdobyła jeszcze lepsze, dwie trójki i dwie szóstki, Baśka dwie piątki i dwie czwórki, na punkty tyle samo co Ewa. Mnie tak świetnie nie poszło, dwie czwórki i dwie jedynki.

- Trudno, pisz. I tak się dziwię, że dwie pary wychodzą...

- Też się dziwię - przyświadczył Tadeusz, uzyskawszy dwie piątki i dwie trójki.

Paweł rozpoczął następną kombinację, trójkę. Od razu dostał mieszaninę.

- Jak mam rzucać, to chociaż do tych większych - oświadczył, odsuwając na bok jedną szóstkę.

Po dwóch rzutach wciąż miał tylko tę jedną. Ruszył płoty. Już pierwszym zdobył drugą szóstkę i trzy jedynki.

- No masz trójkę. Nie chcesz takiej?

- Nie chcę. Równie dobrze mógłbym skreślić od razu. Drugi płot dał mu nadmiar, następne dwie szóstki.

- Nie można by tego zapisać do karety? - spytał, zmartwiony.

- Nie można - odparła stanowczo Ewa. - Każdy by tak chciał.

Byliśmy już przy szansie, po dokładnym poskreślaniu obu stritów, kiedy Tadeusz ponownie nadstawił ucha w kierunku przedpokoju.

- Mam wrażenie, że twój czajnik znów strzela - powiedział niepewnie, zanim Paweł wziął kości do ręki.

Podniosłam się i udałam do kuchni znacznie spokojniej niż poprzednio, zdziwiona nieco, bo nalałam bardzo dużo wody i on jeszcze nie miał prawa się wygotować. Jednakże to uczynił. Znów był rozpalony, cała woda zaś znajdowała się na płycie kuchenki i na podłodze. Odgadłam przyczynę.

- Pękł cholernik. Żeby go szlag trafił...

- Nie musisz mu życzyć, masz to już jak w banku - pocieszyła mnie Baśka, znów przybyła tuż za mną. - To co? Iść do łazienki po ten drugi?

- Iść. Też go trzeba będzie wygotować, bo dawno nie był używany...

Postawiwszy na gazie prawie pięć litrów wody, uznałam, że na długą chwilę będzie spokój i wróciłam do pokoju, wodę na podłodze pozostawiając własnemu losowi. Paweł przestał potrząsać kośćmi, co czynił cały czas, i rzucił do karety. Dostał ją z ręki.

- No wiecie, że to jest nie do zniesienia! - wykrzyknęła Baśka. - Nawet jak przegrywa, to też wygrywa! Jak on to robi?

- Prawie odpracował górę - rzekł z podziwem Tadeusz, zapisując te 72. - Gdyby nie miał na górze minusów, moglibyśmy już wchodzić pod stół i płakać.

- Jeżeli rzucisz z ręki jeszcze i pokera, nie dam ci w domu nic do jedzenia. Będę ci z ust wyrywać...

- Mam dwie piątki - zawiadomiła Ewa. - Ile płotów?

- Jedenaście.

- Jeden w normie... Jest jedna. Drugi... Liczcie płoty! Pierwszy... drugi... Cholera.

Za drugim przyszły jej jeszcze dwie piątki. Poker. Teraz, przy karecie...!

- To z pokerem mogę się z góry pożegnać - powiedziała ponuro.

- Bardzo cię przepraszam - powiedział Tadeusz. - Pomyliłem się, policzyłem Pawła, to on ma jedenaście. Ty miałaś płotów tylko sześć. Zostało ci cztery.

- Nadzwyczajnie mnie pocieszyłeś...!

- Cicho bądźcie! - zażądała Baśka. - Mam dwie piątki. Tych sztachet ile...? Tylko porządnie, bez pomyłki!

- Jedenaście.

- Jesteś pewien, że nie liczysz znów Pawła?

- Pewien. I nie siebie...

- No dobrze. Jest trzecia... Jeszcze raz w normie... Jest! Oczywiście wyszło mi najgorzej, jedna piątka. Zgniewało mnie, zgarnęłam wszystkie. Jedna szóstka. Żadnej...

- Ile mam płotów? Już widzę, sześć. Niech je diabli wezmą, liczcie!

Drugim przyszła czwarta szóstka, cztery płoty zostały mi na pokera. Tadeusz łypnął okiem na Pawła.

- Długie potrząsanie daje doskonałe rezultaty...

- Ale nie do jutra - poprosiła Ewa po dłuższej chwili.

- Komu daje, komu nie - zauważył Paweł, widząc efekt rzutu Tadeusza. - Chociaż... Jedynków jak mrówków.

- Kareta z jedynek - powiedział Tadeusz. - A jednak. Trzy razy cztery, dwanaście. Zapisuję!

- Jezus Mario, ile on ma tych płotów...?!

- Osiemnaście - policzył Tadeusz. - I mam strasznie złe przeczucia. Rekord przy pokerze był dwadzieścia siedem.

- Wyszedł...?

- Nie. Ta osoba wyrzuciła go dwudziestym ósmym, już nieważnym. Nie pamiętam, kto to był.

- Jakiś biedny niefarciarz - zaopiniował Paweł i rzucił. Westchnął, odsunął na bok jedną szóstkę i zaczął rzucać dalej. W normie zdobył trzy.

- No to teraz te jedenaście płotów...

- Pierwszy... drugi... trzeci... - zaczęliśmy. - Jest czwarta! Czwarty... piąty... szósty...

Za siódmym piąta szóstka przyszła.

- Mówiłam, że tych płotów masz za dużo! - wytknęła Baśka.

Ewa dostała trzy szóstki od razu. Kiedy zaczęła płoty, miała ich już cztery.

- Pierwszy... - zaczął chór. - Drugi... Trzeci... Jest!

- Powinna być jakaś premia za ocalałe płoty - mruknął Paweł.

- Zastanowimy się nad tym - obiecała Baśka. - Co ja tu mam? Dwie piątki... Dobrze, nie wymagajmy za wiele...

Przy piątym płocie zamieniła te piątki na szóstki i zdobyła pokera dziesiątym. Wiedziałam, że nie mam szans, ale porządny hazardzista walczy do końca. Ku własnemu zdumieniu ostatnim płotem osiągnęłam sukces.

- Ktoś w końcu musi skusić - westchnął Tadeusz. - Pewnie będę to ja.

Źle przewidział, na pokera zużył zaledwie pięć płotów z tych osiemnastu. Szóstki chodziły jak wściekłe. Z szalonym zainteresowaniem czekaliśmy na obliczenie całości.

W połowie obliczeń ujrzałam nagle jakieś dziwne smugi dymu, wędrujące ku nam po podłodze z przedpokoju, i poczułam osobliwy

odór. Niby znajomy, ale jednak obcy. Zanim zdążyłam uczynić uwagę na ten temat, coś błysnęło, huknęło i zgasło światło. Nagła ciemność została powitana zbiorowym jękiem.

- Nic, nic, mam świece - powiedziałam pośpiesznie. - Właśnie wydało mi się, że coś się kopci. Tylko spokojnie... Ma ktoś pod ręką zapalniczkę albo zapałki?

Paweł pstryknął zapalniczką. Przy jej świetle znalazłam na regale lichtarz ze świecą, złapawszy Tadeusza za głowę tylko jeden raz. Przy jednej świecy znalazłam drugą.

- W kuchni nad zlewozmywakiem stoją jeszcze cztery, w tym dwie takie grubsze - ogłosiłam powszechnie. - Kto chce, niech przyniesie. Ja poszukam tutaj, bo wiem, że leżą pod atlasami.

Odgadywałam wprawdzie, że nie używany od pół roku grzejnik wywinął jakiś numer i wywaliło bezpieczniki, ale zarówno do wyłączenia go, jak i do wymacania bezpieczników musiałam mieć światło. Ponadto wcale nie byłam pewna, czy awaria nie sięgnęła głębiej, i na wszelki wypadek wolałam się zaopatrzyć w środki pomocnicze.

Do kuchni udała się Baśka, wywlókłszy Pawła zza stołu, co miało swój sens, bo był znacznie od niej wyższy. Zarazem jednak z wyłażeniem po ciemku miał kłopoty, przeszkadzały mu nogi Tadeusza, zdążyła zatem dostrzec w kuchni stołek i wleźć na niego. Stołek miał tę właściwość, że dwie nogi wyrastały mu nagle ku górze i płaszczyzna pozioma jedną stroną opadała znienacka w dół. Baśka o tym nie miała pojęcia, gwałtowna zmiana pod stopami zaskoczyła ją, próbując się czegoś przytrzymać upuściła świecę i chwyciła pałąk stojącego na gazie i szumiącego już czajnika. Poleciała do tyłu, Paweł złapał ją tylko dzięki temu, że trafiła wprost w niego, czajnik zaś runął bez przeszkód i pięć litrów gorącej wody wylało im się na nogi.

Usłyszałam ten rumor. Rzucając Ewie w ręce całą paczkę świec, popędziłam do kuchni, oświetlając powódź i Baśkę z Pawłem, splątanych pod kredensem, z którego posypał się ogromny stos korespondencji i rozmaitych innych papierów. Świadoma wagi niektórych, a także faktu, że woda może im zaszkodzić, wydałam z siebie straszny krzyk i rzuciłam się makulaturze na ratunek. Do Ewy i Tadeusza mój krzyk dotarł, poderwali się obydwoje, Tadeusz ramieniem zrzucił wystające z regału książki telefoniczne z ostatnich trzydziestu lat, książki spadły na półeczkę pod lampą i roztrzaskały ją kompletnie, Ewa zaś potknęła się o fotel, padła na niego i przejechała po śliskiej podłodze aż pod okno, gdzie zastopował ją grzejnik, osłonięty grubym zwałem zieleni w postaci zwisającego z góry asparagusa. Asparagus, cud istny, nie zleciał, a stał w takiej donicy, że mógłby ją zabić. Fotel zaś jechał łatwo, bo nogi miał podbite kawałkami wojłoku.

Przy blasku świec wyszło na jaw, że dobrze zgadłam. W gruncie rzeczy nic się nie stało, mój elektryczny kaloryfer rzeczywiście zrobił sobie jakieś zwarcie, coś tam mu się skopciło i automatyczne bezpieczniki wyskoczyły. Wyłączyłam go z pewnym wysiłkiem, sięgając do gniazdka za komodą, wcisnęłam prztyki w szafce z licznikiem i zrobiło się widno.

- To co, te świece już niepotrzebne? - spytała Ewa, wydłubując sobie z włosów gałązki asparagusa. - Cholera, jak

to kłuje...

- Wasze rzeczy już suche - zawiadomiła Baśka. - Za to nasze buty mokre. Dobrze, że ta woda jeszcze nie była całkiem wrząca. To kto w końcu wygrał?

Tadeusz, odkopując nogami stos książek telefonicznych,

wykończył obliczenia.

- Paweł. O cztery punkty! Ma 682, a ja 678. Kareta mnie zgubiła, trzeba było rzucać do większej...

Podniósł się, wyszedł do przedpokoju w samych skarpetkach, zapewne z zamiarem udania się do łazienki, i natychmiast wlazł na szkło, podmiecione do kąta i zastawione szczotką. Szczotkę ktoś popchnął, szurnęła tą stłuczką i rozsypała ją szerszym kręgiem, na który Tadeusz trafił bezbłędnie. Nie mając w sobie cech derwisza, usiłował gwałtownie z tego podłoża wyskoczyć, potknął się jakoś dziwnie i padł na sfajczony kaloryfer, ciągle stojący w drzwiach do drugiego pokoju. Kaloryfer był na kółkach, przejechał przez całe pomieszczenie nie gorzej niż fotel z Ewą i rąbnął w stolik pod balkonem, zastawiony kwiatkami w doniczkach. Jedna zleciała z okropnym hukiem. Na całe szczęście nie miałam jeszcze wtedy telewizora, bo mogłoby wypaść gorzej.

Bardzo sobie tych podeszew nie rozdziabał, bo zadziałały tylko szklanki, a nie płaskie kawałki z szafy bibliotecznej, ale i tak wszyscy mieli dosyć dużo roboty.

I czy ktokolwiek może się dziwić, że tę akurat grę zapamiętałam dokładnie...?

Jako instruktarz, w razie gdyby ktoś chciał w to grać, może się przydać.

I druga:

(Modyfikacja. Przypominam, bo przez te wszystkie strony powyżej każdy mógł zapomnieć, o co tu w ogóle chodzi.)

Otóż cała ta gra, zmodyfikowana, może wyglądać znacznie ostrzej, a przedstawia się wówczas następująco:

Każdy ma w zasadzie tylko jeden rzut i żadnymi płotami nie zawracamy sobie głowy. Jeśli pierwszy gracz skusi, rzuca następny. Jeśli wyjdzie mu jakaś kombinacja - przy tym najmniejszą wygraną są dwie szóstki i nic poniżej - może rzucać dalej. Dwie pary liczy się

podwójnie, a całą resztę potrójnie, jeśli skusi, przepada mu wszystko, ale zdobyte punkty może sobie zapisać, kiedy zechce, z tym że, zapisawszy, kończy swoje rzucanie i oddaje kości następnemu. Trzeci rzut liczy się jeszcze raz podwójnie, przykładowo, ktoś za trzecim rzutem uzyskał trzy piątki, czyli piętnaście, razy trzy, to już 45, podwójnie to 90. Zachęcające. Każdy się pcha do tego trzeciego rzutu, a korci go i czwarty, bo oczywiście po trzecim podwójnie liczy się już wszystko, po czym na tej chciwości wychodzi jak Zabłocki na mydle. Czasem osiąga sukces, ale częściej przepada mu to, co sobie nabił pierwszymi dwoma rzutami.

Gra się do jakiejś liczby, z góry ustalonej, najpraktyczniejsze jest 2000 punktów. Kto je pierwszy osiągnie, ten wygrywa od wszystkich tyle, ile punktów brakuje im do dwóch tysięcy. Grać można po groszu, po złotówce i po sto dolarów, jeśli rozrywką zajmą się szaleńcy, względnie milionerzy, i jest to już czysty, niczym nie skażony hazard.

Kośćmi grywa się także w siedem-jedenaście. Jest to gra pomiędzy graczem a bankierem, jak oko, używa się do niej dwóch kostek, a wygrywa ten, kto pierwszy owymi dwiema kostkami wyrzuci liczbę 7 albo 11, 3 i 4 albo 2 i 5, albo 5 i 6, albo cokolwiek, co razem daje 7 lub 11. Gra zaś idzie o stawkę, zadeklarowaną przez gracza, i albo mu ta stawka przepada, albo ma ją podwojoną. Bankier jest jeden, graczy wokół niego może siedzieć dowolna ilość, grają kolejno, przy czym w warunkach towarzyskich bankier się zmienia, każdy może nim zostać i nawet powinien, praktyka bowiem wykazuje, że na ogół bankier wygrywa najwięcej.

Nie należy grywać z osobami skąpymi i tchórzliwymi, a także z małżeństwami o sprzecznych upodobaniach. Mąż--harpagon, żona zaś hazardzistka, względnie odwrotnie, i już po jednej grze możemy być wleczeni do sądu jako świadkowie na rozprawie rozwodowej lub też sprawie o zabójstwo w afekcie.

Kości ponadto najwyraźniej w świecie uwzględniają cechy osobowości graczy. Wyrzucić pięć szóstek jednym kopem bez żadnego oszukaństwa to rzadka sztuka i nie każdemu się przytrafia. I otóż osobiście znałam takiego, który te pięć szóstek wyrzucał raz za razem bez żadnych specjalnych starań, kośćmi, które należały do mnie i z całą pewnością nie były fałszowane, co do rozpaczy i furii doprowadzało wszystkich pozostałych graczy. I cóż się okazało? Wyszło na jaw, iż wspomniany osobnik był zakamieniałym i ugruntowanym pederastą. Kości musiały o tym wiedzieć od początku.

Z homoseksualistami zatem też grywać nie radzę.

No i jest jeszcze coś, czego nie można pominąć. A mianowicie:

BRYDŻ

Nie ma lepszego sprawdzianu charakteru niż brydż, przy czym jest to sprawdzian, nie grożący żadnym niebezpieczeństwem. Być

może bowiem równie dobrym sprawdzianem mogłoby się okazać czyjeś zachowanie w warunkach bojowych pod gradem wybuchających pocisków, w katastrofie okrętowej, ewentualnie tuż pod szczytem Everestu, wymienione sytuacje jednakże tym się odznaczają, że utratę życia mamy w nich prawie jak w banku, pomijając już drobne trudności z wywoływaniem wojen, powodowaniem katastrof okrętowych czy wojażem do Tybetu. Zagrać w brydża jest znacznie łatwiej.

Brydż jest to gra poniekąd zespołowa, a w każdym razie partnerska. Na pewno nie będę tu wykładać zasad brydżowych, kilka osób już to zrobiło znacznie lepiej ode mnie, tyle że wykładowcy ominęli okoliczności towarzyszące. Gra, zdawałoby się, szlachetna, prawie jak szachy, sportowa, od hazardu niby mocno odległa, a namiętności może budzić, że ho ho! Okrzyk żony do męża: - Półgłów jeden!!! Bo półgłówek to jest zbyt pieszczotliwie!!! - żony, należy zaznaczyć, łagodnej, ustępliwej, kulturalnej i doskonale wychowanej - już sam jeden wystarczy, żeby węszyć uczucia dużego kalibru.

Przy brydżu, z wielką łatwością i prawie od pierwszej chwili, wychodzą na jaw cechy następujące:

awanturniczość
chamstwo
despotyzm
opanowanie
egocentryzm i sobkostwo
megalomania
chciwość i skąpstwo
totalna głupota
lekkomyślność
upodobanie do ryzykanctwa
tchórzostwo
błyskotliwa inteligencja
złośliwość
zawziętość
skłonność do masochizmu
skłonność do krętactwa
szlachetność i wspaniałomyślność
ogólna kultura i takt
chrześcijańskie miłosierdzie
bezwzględność i kompletne lekceważenie innych jednostek ludzkich
dobre serce
okrucieństwo
dobre i złe wychowanie
waleczność

i właściwie cała reszta charakteru.

Jeśli zatem ktoś chce szybko poznać człowieka, niech z nim zagra w brydża.

Od razu, już przy licytacji, stwierdzi, czy człowiek liczy się ze swoim partnerem, czy uwzględnia jego informacje, sam go informuje wzajemnie i wspólnie z nim decyduje o grze, czy też przeciwnie, ma go w nosie, lekceważy, informacje przyjmie, ale swego nie pokaże, względnie odwrotnie, nie zwraca na nie uwagi, pcha się ze swoim, rąbnie decyzją, bywa, że niesłuszną i pozbawioną sensu, bywa, że trafną, różnie. Ale jednak rąbnie. Po czym, ujrzawszy karty partnera, jeszcze go obsobaczy.

W trakcie rozgrywki jednostka szlachetna i opanowana milczy kamiennie, bez względu na to, jaki idiotyzm udało im się wylicytować. Jednostka o cechach wręcz przeciwnych judzi, awanturuje się, podpowiada, przeszkadzając rozgrywającemu śmiertelnie, a zdarza się, że siłą wyrywa mu karty z ręki i sama gra, niwecząc wszelkie jego koncepcje. Niekiedy podgląda przeciwników i sugeruje wyjścia, co już przekracza wszelkie granice, i z takimi się nie grywa.

Po grze wszystkie cechy świecą jeszcze jaskrawiej, bo emocje mają prawo już się ujawnić.

Chamskie ryki albo słowa pociechy; zrzucanie winy na siebie wzajemnie albo uczciwe przyznawanie się do błędów; milczenie pełne potępienia albo słowa gorącej pochwały; wyrzuty, pretensje i złośliwości albo wspaniałomyślne umniejszanie klęski; rzucanie kartami i przewracanie krzesła albo filozoficzny spokój; wściekły zgrzyt zębów albo radosny uśmiech...

Co prawda, na widok przegranej uśmiechać się radośnie może tylko idiota, ale może akurat idiota ma złote serce i dobre chęci i chce koniecznie poprawić nastrój. W każdym razie mamy szansę docenić złote serce idioty i jakby co, pożyczka na przykład... Do niego jak w dym!

Później zaś widzimy różne inne rzeczy. W obronie robra jeden walczy do końca z dzikim uporem, bez względu na straty, drugi zniechęca się i poddaje natychmiast, trzeci racjonalnie liczy punkty i starannie rozważa, co mu się więcej opłaci, czwarty zacietrzewia się i głuchnie na słowa rozsądku, piąty popełnia kretyństwo za kretyństwem na złość partnerowi, a przy okazji sobie, szósty wspina się na szczyty podstępnej perfidii... Ze wszystkich wychodzi prawdziwy charakter lepiej niż po pijanemu.

Ponadto, w czasie całej gry, ujawnia się osobisty stosunek do nas naszego stałego partnera życiowego. Partnerzy chwilowi i nie nasi mogą nas niespecjalnie interesować, chyba że w grę wchodzi nielubiana przyjaciółka i jej mąż.

Dzięki brydżowi dowiedziałam się, iż:

- jeden taki, rzekomo mnie szanując i wielbiąc, w rzeczywistości uważał za idiotkę i czuł się przeze mnie niesłusznie przydeptany,

- drugi taki, kochając mnie nad życie, uważał za istotę nieznośną i śmiertelnie denerwującą,

- trzeci taki, rzekomo mnie lekceważąc, de facto szanował i cenił,

- czwarty taki zwyczajnie kochał mnie też nad życie, do czego bez brydża za skarby świata by się nie przyznał,

- piąty taki uważał mnie, uważa i będzie uważał za zwyczajną, nieuleczalną kretynkę, przed którą swój pogląd z grzeczności powinien ukryć,

- szósty taki w ogóle mnie nie trawił, aczkolwiek udawał, że kocha i chce spędzić ze mną resztę lat do późnej starości,

- siódmy taki traktował mnie jak normalnego człowieka, co mnie zdziwiło, bo myślałam, że wręcz przeciwnie,

- ósmy taki, który zręcznie udawał osobnika inteligentnego, okazał się tępym cepem,

W powyższej liście ukryci zostali: mój mąż, mój syn, paru gachów i paru przyjaciół.

Z wyżej wymienionej przyczyny brydż jest grą niezmiernie cenną i użyteczną i warto w nim uczestniczyć nawet po sto dolarów za punkt. Dobrze jest tylko z góry wiedzieć, od kogo te dolary w razie potrzeby pożyczymy.

Przy okazji i poniekąd na marginesie komunikuję, iż przez jedno głupie wyjście straciłam bezpowrotnie potencjalnego i upragnionego amanta.

Mając tu na myśli prawdziwego brydża, o jego gorszych gatunkach nawet nie wspominam. Istnieje bowiem brydż gadany, w którym celują głównie, nie da się ukryć, kobiety, na szczęście nie wszystkie. Znam jedną taką, która twierdzi, że gadanego brydża nie znosi, po czym, od pierwszego rozdania do ostatniego gęba się jej nie zamyka. Niekiedy gadają cztery, rzecz jasna na tematy uboczne, przykłady czegoś takiego zaś już ładne parę osób opisało, między innymi Magdalena Samozwaniec i Agata Christie.

Udręką dla prawdziwych graczy są gracze in spe. Wystarczy jeden taki, który się dopiero uczy i który:

- hamuje grę, myśląc nad wszystkim i wahając się w nieskończoność,

- niepewny siebie, zadaje głupie pytania, dzięki którym od razu staje się wiadome, co kto trzyma w ręku, i cała przyjemność jest zepsuta,

- licytuje bez sensu, ogłuszając normalnego partnera,

- wyskakuje bez punktów,

- marnuje szlemiki,

- rozgrywa idiotycznie, narażając partnera na atak serca ...żeby

wszystkim pozostałym robiło się ciemno w oczach. Dla przetrzymania z zaciśniętymi zębami nieszczęsnego ucznia potrzebna jest wyjątkowa szlachetność charakteru, ściśle połączona z granitowym opanowaniem. Chyba że wszyscy z góry postanowili poświęcić się dla owego adepta wiedzy, ale nikt wówczas nie potraktuje gry poważnie i każdy, z żalem w sercu, zdobędzie się na szczytową pobłażliwość. Co prawda, raz się przydarzyło...

Grałam w dziko zażartego brydża z dwoma partnerami normalnymi i jednym brydżowym półgłówkiem. Brydżowym, podkreślam, poza tym był umysłowo w pełni rozwinięty. Przyszła chwila, kiedy oni rozpaczliwie bronili robra, graliśmy starym zapisem z progresją, ja zaś za partnera miałam właśnie półgłówka. Z licytacji wynikło, że mają znakomitą kartę bezatutową, a ten z mojej prawej trzyma trefle. Otóż nieprawda, wcale ich nie trzymał, trefle miałam ja, sześć sztuk z asem i damą, on zaś mógł mieć najwyżej czwartego króla z blotkami. Później wyszło na jaw, że miał trzeciego. Zgłosiłam te trefle we właściwej chwili, partner mnie poparł, w tej fazie swojej wiedzy brydżowej myślał wprost, zatem jakieś trefle musiał mieć, może waleta, a chociaż dziesiątkę. Poza tym mieli prawie całą resztę. Prawie...

Poszli rozpędem, stanęli na pięciu bez atu z rekontrą. Skontrowałam z nadzieją, że ich wystraszę, bo i wyższa gra, i wolałam kolor, a ten z lewej bezczelnie zrekontrował.

No i oczywiście było wiadome, że kładzie ich jedno jedyne wyjście, mianowicie w trefle, najlepiej w waleta. Słowem się nie odezwałam i okiem nie mrugnęłam, mając najdoskonalszą pewność, że ten mój półgłówek w ogóle nie pamięta, co licytowałam, a jeśli nawet pamięta, pojęcia nie ma, co to znaczy. Nawet mi tchu nie zaparło, smętnie poddałam się losowi z góry, on zaś trzymał wszystkich w napięciu, macając rozpaczliwie swoje trzynaście kart. Wreszcie podjął decyzję.

I wyszedł w waleta trefl...!!!

Dopiero wtedy omal się nie zadławiłam. Później się okazało, że oczywiście dobrze zgadłam, licytacja nic mu nie powiedziała, wcale jej nie pamiętał, a wyszedł po prostu w cokolwiek. Cud chyba sprawił, że był to walet trefl.

Zważywszy, że mieliśmy jeszcze jakąś drobnostkę z boku, a układy były dla nas korzystne, przeciwnicy leżeli bez pięciu. Po partii. Z rekontrą!

Jak widać, różnie bywa...

Chociaż nie. Jest to jakaś reguła. Ten, co nie umie grać, wychodzi najbardziej wygrany i za chwilę do tej prawidłowości wrócę, tylko jeszcze przypomnę sobie i wszystkim powiedzonka brydżowe. Brzmią następująco:

Nie chodź, bawole, czego nie ma na stole.

Kto gra w piki, ten ma wyniki.

Piki karo chodzą parą.

Maleńkie karo karmiła mi żona.

Impas dusi grę.

W Pińczowie dnieje! (jeśli ktoś za długo myśli)

Do Filadelfii! (Okrzyk, który się rozlega, jeśli ktoś chce rozpatrywać poprzednie rozdanie. Krąży plotka, jakoby w Filadelfii istniało specjalne muzeum, gdzie na ścianach zaprezentowane są wszystkie możliwe układy kart. Niech sobie jedzie i ogląda.)

Dobry gospodarz zawsze powtarza (oznacza wyjście drugi raz w ten sam kolor).

Ostatnie cielę z obory (ostatnie atu).

As bierze raz.

Kibic powinien być cichy i bezwonny.

Trefelki, kolorek niewielki.

Figur na figur, mówił święty Igór.

Figurę w skórę!

Brać co swoje i w krzaki.

Jak się nie ma, co się mówi, to się leży, z kim się gra.

Karty przy medalach! (Okrzyk skierowany do daleko-widzów, unikających okularów i trzymających karty w okolicy środka stołu, co niesłychanie męczy uczciwych przeciwników i do rozpaczy doprowadza aktualnego partnera.)

Więcej chwilowo nie pamiętam.

Wracając do owej wyżej wspomnianej prawidłowości, istnieje taka przerażająca gra jak:

POKER

O pokerze napisano już tyle, że nie będę się wygłupiać. Pozwolę sobie tylko skorygować jedną, niesłusznie ugruntowaną opinię.

Wszyscy wiedzą, co to jest twarz pokerzysty. Kamienna ona musi być, nieruchoma, nie zmieniająca wyrazu, choćby nawet graczowi w danym momencie wszystko zewsząd wyrywano. Taki w sposób dowolny blefuje, otumania przeciwników i wygrywa.

Nic podobnego.

Grywałam w pokera obficie, choć raczej towarzysko, co nie przeszkadzało wypłacać sobie wzajemnie sum rzędu piętnastu lub dwudziestu złotych na bardzo stare pieniądze. Stałe grono graczy miało za sobą wiedzę, doświadczenie, umiejętności i liczne sensacyjne przeżycia. Z twarzami robiliśmy różne rzeczy, ale każdy potrafił się opanować. I oczywiście każdy chciał wygrać, bodaj nawet te osiemnaście złotych.

No i do gry przystąpiła jedna moja przyjaciółka, zarazem dziko chciwa rozrywki i przestraszona własną chęcią. W pokera grać nie

umiała, ale znała pokerowe kombinacje i mniej więcej rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi.

Co wyprawiała, obejrzawszy karty, ludzkie słowo nie opisze. Czerwieniała na obliczu, szarpała sobie włosy na głowie, zamykała oczy, wydawała z siebie jęki, siniała i bladła, szczękała zębami, mamrotała pod nosem i wydawała głośne okrzyki, przebijała znienacka najwyższą stawką albo wahała się straszliwie nad dołożeniem złotówki, krzywiła się i chichotała, odpracowała chyba pełny wachlarz ludzkich możliwości. No, nie zrywała się z fotela i nie przewracała stołu, ale szklankę z herbatą owszem, ponadto podskakiwała.

I wszystko to czyniła bez względu na wartość karty, jaką trzymała w ręku, i wcale nie specjalnie, tylko z emocji. Omal wszyscy przez nią nie dostaliśmy obłędu. Za skarby nie było wiadomo, czy ma dwie szóstki, czy cztery asy, czy sinieje ze szczęścia i zachwytu, czy z rozpaczy i trwogi. Dobrała coś czy przeciwnie. Sprawdzać ją czy przebijać. Ogłupiła nas tak przeraźliwie, że w rezultacie wyszła z tego interesu potężnie wygrana, załatwiwszy całe to doświadczone grono. Wszyscy zgodnie oznajmili mi, że więcej z tą zołzą nie grają.

Jeśli ktokolwiek uzna, że zaprezentowała twarz pokerzysty...

Pokera, ogólnie biorąc, nie rekomenduję. Trzeba mieć do niego bardzo dużo pieniędzy, talent i fart. Bez któregoś z tych czynników wyjdzie się z zabawy jak Zabłocki na mydle, a cud może się zdarzyć najwyżej jeden raz.

Ponadto opisywane w literaturze i pokazywane na filmach spotkania karety z fulem na asach, dwóch karet, karety z pokerem i tym podobnych, kiedy to gracze stawiają całe mienie i wygrywają lub tracą fabryki, pałace, posiadłości i diamenty żony, w naturze przytrafiają się niezmiernie rzadko. Normalnie są to spotkania dwóch par, czasem dwóch par ze stritem, albo strita z trójką, a najczęściej jednej większej pary z mniejszą. Wielkie mecyje, kto się będzie wygłupiał przy stricie z pałacami i diamentami?

Przyznaję, raz mi się podobna emocja przytrafiła. Wpadłam w taki szał, że postawiłam dolara, jednego z dwóch posiadanych na własność. Ale dostałam kolor i rzeczywiście, spotkały się dwa, przeciwnik też miał kolor. Mój był większy, as, potem walet i blotki, u niego zaś też as, ale potem dziesiątka. Dolar okazał się fartowny, nie przegrałam go.

No dobrze, ale spotkanie dwóch kolorów na tyle gier...?

Rasowi pokerzyści i z dwóch par potrafią wyciągnąć korzyść, ale zanim człowiek zostanie rasowym pokerzystą, zbankrutuje i umrze z głodu dwadzieścia pięć razy. Bez pieniędzy w ogóle nie sposób wygrać.

Też mi się raz przydarzyło. Nie powiem, gdzie grałam i z kim,

moje fundusze ograniczały się do dwustu złotych, ciągle to było na stare pieniądze i dawno temu, stawka podstawowa wynosiła złotówkę, przeciwników miałam oblatanych, ale przy tym ślepy fart. Karta waliła mi jak szatan, niestety, wszystko dostawałam z dokupu, a nie z ręki. Oni byli ostrożni, nie przebijali, sprawdzali najwyżej, ja zaś w ciemno przebijać nie mogłam, niepewna rezultatu. No i za mało miałam pieniędzy. Jeśli któryś z nich czasem przebił, też nie mogłam tego przebijania kontynuować, bo niech będzie, on przebija do dwustu, ja z tego robię sześćset, bo tyle już wygrałam, on leci na tysiąc dwieście i co? Skąd te tysiąc dwieście wydłubię, sobie z nosa? Musiałam sprawdzać. Nie chciałam jeszcze odchodzić od gry, a jedna przegrana mnie kładła.

W rezultacie wyszłam z tego wygrana sześćset złotych, a mogłam zyskać sześć tysięcy. Nie można siadać do pokera bez pieniędzy w ręku.

Nie mówię tu oczywiście o pokerze wśród rozmaitych oszustów i szulerów, którzy układają znaczone karty przy tasowaniu i wyciągają czwartą damę z rękawa. Oszustów i szulerów w ogóle usuńmy na daleki margines poza horyzontem, bo gra z nimi to żadna przyjemność. Mówię o grze przyzwoitej, uczciwej, acz, przyznaję, niepomiernie emocjonującej...

I nawet odmiana niepoważna i towarzyska tychże emocji dostarcza. Grywałam w pokera w gronie przyjaciół i znajomych, stawka wynosiła 10 groszy, bo mniejszych monet nikt już nie miał, a i tych dziesięciogroszówek brakowało, wobec czego zostały zastąpione żetonami w postaci małych membranek dla głuchoniemych. Nie, nie tak. Membranek do aparatów słuchowych, zepsutych już czy wyczerpanych, nie wnikałam w tę kwestię, w każdym razie przeznaczonych do wyrzucenia.

I tymi membrankami operując, przy stawce dziesięciu groszy, zdołaliśmy poprzegrywać do siebie wzajemnie sumy rzędu ośmiu milionów złotych. Rzecz jasna tych milionów nikt nie miał, powyżej dwustu złotych graliśmy na rewersy, starannie gromadzone, nawzajem sobie zwracane i, jak łatwo zgadnąć, nigdy nie zrealizowane. Co nie przeszkadzało wybuchom uczuć zgoła płomiennych.

Wszyscy byli przy tym nieskalanie trzeźwi, ponieważ gra odbywała się u mnie w domu, a nie dysponowałam w owych czasach ani jedną kroplą alkoholu.

Do pokera nie zachęcam, gra ostra i, jak widać, niebezpieczna, zalecam natomiast

WYŚCIGI

Oczywiście końskie.

Wszystkie tory świata stanowią plener niezmiernie piękny.

Wypełnione są z reguły zielenią, kwieciem i świeżym powietrzem. Stawki nie grożą ruiną nawet kompletnemu kretynowi, który bezbłędnie wybiera do gry najgorsze konie. Oszustwa graczom w gruncie rzeczy nie szkodzą, bo zawsze jakiś koń wygrywa i można przypadkiem na niego trafić, a graczowi wszystko jedno, skąd upragniony zysk pochodzi. Niech się martwi właściciel konia i trener.

Szkodzi wyłącznie zidiocenie osobiste, w którym celują mężczyźni.

Oto przykład:

Taksówkarz, którym jechałam nie tak dawno na tory w Longchamp, z dobrego serca i poufnie, dał mi konia numer czternaście. Czternastka w pierwszej gonitwie przychodzi w charakterze fuksa. Bardzo dobrze, nie miałam obiekcji, nie znałam koni, nie zdążyłam nawet obejrzeć programu, mogła sobie ta czternastka wygrać, mnie bez różnicy.

Postawiłam na nią, oczywiście, całe pięć franków, czyli mniej więcej dwa i pół złotego. Śmiercią głodową nie zagroziło mi to w najmniejszym stopniu, a czternastka wcale nie przyszła, przegrała.

I otóż prawdziwy idiota męskiej płci, uzyskawszy od tubylca taką informację, rozpłomieniony i pazerny, władował-by w tę czternastkę cały posiadany przy sobie majątek, tysiąc franków, dziesięć tysięcy, ile by tam wydłubał. I zostałby na lodzie. A niechby nawet ograniczył się do stu czy dwustu franków, też byłoby mu przykro i bagietka z pastą rybną kością w gardle by mu stanęła.

Na tym dowcip polega. Kto traci rozum i opamiętanie, ten i na niewinnych wyścigach potrafi siebie i rodzinę do skrajnej nędzy doprowadzić, chociaż wcale nie musi. Kto mu kazał? Nikt, poza jego własnym szaleństwem.

Przed szaleństwem silnie ostrzegam.

W szczegóły gry na wyścigach nie będę się wdawać, z tej prostej racji, że musiałabym cytować sama siebie, co wydaje mi się nieprzyzwoite. Dwie książki, Wyścigi i Florencja, córka Diabła, załatwiły sprawę detalicznie i wyczerpująco. Komunikuję tylko, że obecnie stawka wynosi złotówkę, albo dwa złote, i za owe dwa złote każdy może bez najmniejszych przeszkód:

- doznawać emocji równie potężnych, jak za dwa tysiące,
- napawać się urokami krajobrazu i wdychać świeże powietrze,
- oglądać przez kilka godzin faunę wielkiej urody,
- spotykać się ze znajomymi,
- zazdrościć wygranym,
- pławić się w satysfakcji na widok przegranych, tych, którzy stracili wszelki umiar i wyrwali sobie z trzewi ostatnie szczątki fortuny,
- pluć sobie w brodę, że nie zagrał wcale albo że nie zagrał drożej,

- pluć jak wyżej, że zagrał niepotrzebnie,
- nic nie robić.

Jak widać, wachlarz - możliwości jest imponujący. A wszystko za jedne dwa złote!

Ostatnio na służewieckich wyścigach zaistniał wypadek, że przyszedł jakiś człowiek, o koniach nie mający najmniejszego pojęcia, (no, zapewne odróżniał je od kotów, psów, a przynajmniej bocianów), który zagrał piątkę, czyli pięć kolejnych koni na celowniku, za jedną złotówkę, przypadkiem trafił i dostał osiemnaście tysięcy. Zjawisko rzadkie, ale możliwe. To tak na marginesie...

ZAKOŃCZENIE (odrobinę dłuższe niż wstęp)

Jeszcze raz przypominam: przymus gry nie istnieje nigdzie!

Możemy sobie zwiedzać i oglądać sale, hale, tory, kasyna, wesołe miasteczka i wszelkie speluny, nie tracąc ani grosza, poza opłatą za wstęp. Możemy się przy tym robić na bóstwo (kobiety, kobiety... Zboczeńcami płci męskiej nie zajmujemy się tu w najmniejszym stopniu), stroić kusząco i napawać powodzeniem. Możemy zagrać, przeżyć chwile dzikiej emocji i czasem nawet wygrać. Możemy dać ujście namiętności i zmienić jej kierunek. Zamiast płakać w kącie pod piecem, bo ten jakiś nas porzucił, możemy się poderwać, uczesać, umalować i skoczyć do kasyna. Jeśli wyglądamy okropnie po dwóch tygodniach łez, mamy tę pociechę, że nikt na nas nie zwróci uwagi, skoro wszyscy są zajęci grą i nic nie będzie szkodziło, że przyjdziemy tam w charakterze pomiotła.

I mamy niemal pewność, że nie spotkamy tam żadnej, zadowolonej z życia przyjaciółki...

Mężczyzn do hazardu zachęcać nie trzeba. Dość już złego narobili...

koniec